

WYKONANIE

Wszystkie prace zostały wykonane, z wyjątkiem rozdziału 1, który został wyodrębniony jako odrębny tom. W drukarni w Warszawie, w której drukowano i składowano, nie było drukarki, która mogłaby wykonać wszystkie prace. Dlatego też, w celu oszczędności, niektóre prace zostały wykonane w innych drukarniach. W tym celu, w Warszawie, w drukarni „Główna” (Główna 11) wykonano wszystkie prace, z wyjątkiem prac, które zostały wykonane w drukarni „Główna” (Główna 11) w Warszawie. W tym celu, w Warszawie, w drukarni „Główna” (Główna 11) wykonano wszystkie prace, z wyjątkiem prac, które zostały wykonane w drukarni „Główna” (Główna 11) w Warszawie.

WYKONANIE PRAC DRUKOWYCH

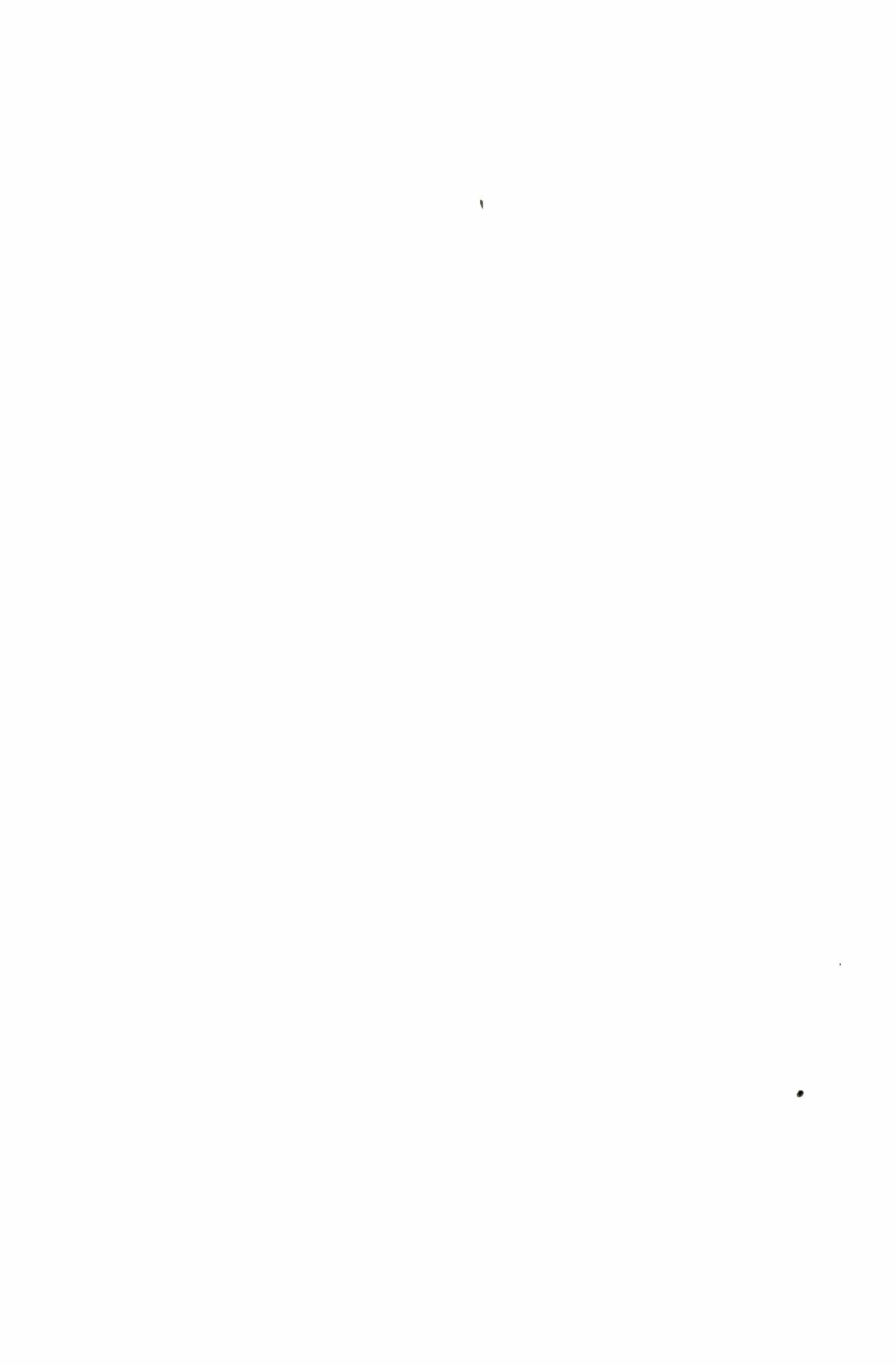
Prace drukarskie

Prace drukarskie zostały wykonane w drukarni „Główna” (Główna 11) w Warszawie. W tym celu, w Warszawie, w drukarni „Główna” (Główna 11) wykonano wszystkie prace, z wyjątkiem prac, które zostały wykonane w drukarni „Główna” (Główna 11) w Warszawie.

DYSKUSJA PANELOWA

W tym celu, w Warszawie, w drukarni „Główna” (Główna 11) wykonano wszystkie prace, z wyjątkiem prac, które zostały wykonane w drukarni „Główna” (Główna 11) w Warszawie.

Prace drukarskie zostały wykonane w drukarni „Główna” (Główna 11) w Warszawie. W tym celu, w Warszawie, w drukarni „Główna” (Główna 11) wykonano wszystkie prace, z wyjątkiem prac, które zostały wykonane w drukarni „Główna” (Główna 11) w Warszawie.



WOKÓŁ WRZEŚNIA

Panel, którego zapis poniżej przedstawiamy, miał miejsce w redakcji „Ethosu” 15 X 1988 r. W dyskusji wzięli udział: ks. prof. Czesław S. Bartnik – teolog narodu i dziejów (KUL), prof. Ryszard Bender – historyk (KUL), prof. Rocco Buttiglione – filozof kultury i dziejów (International Academy of Philosophy – Liechtenstein i Rzym), prof. Norman Davies – historyk (Oxford University), dr Adolf Juzwenko – historyk (Uniwersytet Wrocławski), mgr Janusz Krupski – historyk (KUL), doc. Tomasz Strzembosz – historyk (KUL) oraz z ramienia redakcji „Ethosu”: ks. prof. Tadeusz Styczeń, dr Wojciech Chudy i ks. dr Andrzej Szostek.

WPROWADZENIE DO DYSKUSJI

Ks. Tadeusz Styczeń

Witając serdecznie w gronie redakcyjnym zespołu „Ethosu” naszych znakomitych Gości, zaproszonych na rozmowę z okazji zbliżającej się pięćdziesiątej rocznicy Września’39, czuję potrzebę nie tyle może określenia, ile raczej podkreślenia szczególnego kontekstu naszego obecnego spotkania, jakiegoś dookreślenia jego „tu” i „teraz”. Czyżby to był bowiem tylko przypadek, zwykła tylko zbieżność, że okazję do odbycia tej rozmowy w Lublinie tworzy nam Papież? Czy okazja do niej jest tylko okazją, czy też czymś więcej?

Otóż organizując sesję naukową z okazji 10-lecia pontyfikatu Jana Pawła II, wychodziliśmy z oczywistego dla nas przekonania, że charakter owego niezwykłego zaangażowania się obecnego Papieża w kształtowanie biegu i oblicza współczesnej historii ludzkości daje się dopiero zrozumieć – ale i poniekąd bez reszty wyrazić – jego własnym, wypowiedzianym jeszcze przed datą 16 X 1978 r., pytaniem: „Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień?” Pytanie to, w ustach autora, jest oczywiście retorycznym tylko py-

taniem. To imperatyw. Imperatyw moralny: Nie wolno! Nie wolno dłużej! Nigdy więcej wbrew prądowi sumienia! Trzeba zmienić zasadę biegu dziejów!

Właśnie dlatego nie bardzo umieliśmy sobie wyobrazić, by właśnie tu i teraz, czyli wśród uczestników naszej sesji i uczestników tej rozmowy, mogło zabraknąć autorów takich dzieł, jak *Igrzysko Boże* (God's Playground) i *Sąd nad współczesną historią* (*Il giudizio sulla storia contemporanea*), czyli po prostu profesorów Normana Daviesa z Oxfordu oraz Rocco Buttiglione z Rzymu i Liechtensteinu. Gdyby ktoś – nie znając dotąd ich znakomitych prac – zapytał mnie o najzwyczajszą odpowiedź na pytanie, dlaczego oni właśnie, odpowiedziałbym bez wahania: ponieważ właśnie oni, jak mało kto, widzą i umieją odsłonić – każdy na swój sposób: pierwszy jako historyk, drugi jako filozof historii – wzajemne zmagania prawdy i siły jako zasadniczą osnovę dziejów, w historii zaś Polski widzą zupełnie osobliwą postać tego zmagania, jego szczególnie nasilone i wciąż nasilające się pole walki.

Wrzesień roku 1939 staje się tej walki wyjątkowo spektakularną sceną. Stanowcze „nie!” Polski, wypowiedziane wobec narastającego pasma aktów polityki przemocy i towarzyszącego mu pasma aktów polityki kapitulacji wobec przemocy, jej „nie!” wypowiedziane w całkowitym osamotnieniu wobec obu sprzymierzonych przeciwko niej potęg, programowo zbudowanych na zasadzie prymatu siły nad prawdą, przynosi Polsce we wrześniu klęskę militarną, pod koniec zaś zwycięskiej wojny aliantów z Niemcami klęskę polityczną w Jałcie, której hegemoni byli nadal zdominowani zasadą priorytetu siły. O to właśnie zahacza się sens pytania: „Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień?” Wyzwanie rzucone we wrześniu 1939 r. sumieniu świata przez kraj, nad którym dokonały uścisku dłoni – nie na długo co prawda – dwa bliźniaczo do siebie podobne systemy totalitarne, nie zdołało dostatecznie ocknąć i zmobilizować moralnie ówczesnego świata. Czy wolno jednak, by moralny imperatyw tego wyzwania został zlekceważony? Czy walka prawdy o prymat nad siłą ma być przegrana? Czy Europa może wrócić do samej siebie bez wygrania tej walki, czyli bez powrotu do owego: Plus ratio quam vis! – którym przez wieki się chlubiła? Co zatem dalej z „ETHOSEM WRZEŚNIA'39”? Jak można dzisiaj określić dotychczasowy bilans – i ocenić szanse – zmagania siły prawdy z prawdą siły, sił racji z racjami siły we współczesnej grze o przyszłość Europy i świata? Jaki kierunek przyjmuje dziś bieg współczesnej historii: zgodny – czy też sprzeczny – z prądem sumienia? Czy prawda przegrywa? Czy jej żołnierze muszą być skazani na klęskę? Czy Wrzesień nie był ich zwycięstwem? Pomimo przegranej... Czy pięćdziesiątą rocznicę Września obchodzimy w jego cieniu, czy... w świetle?

W tym dokładnie punkcie refleksja nad Wrześniem'39 spotyka się z pytaniem Papieża, dziesiąta zaś rocznica jego pontyfikatu nie tylko zewnętrznie zahacza o pięćdziesiątą rocznicę wydarzeń Września ujawniając ich niegasnącą aktualność. Oto dlaczego dziękując w imieniu Instytutu Jana Pawła II

KUL oraz Polskiego Instytutu Kultury Chrześcijańskiej w Rzymie obu naszym Gościom za przybycie do Polski i Lublina na sesję z okazji 10-lecia pontyfikatu Papieża z ... KUL-u nie umieliśmy sobie jako zespół redakcyjny „Ethosu” darować okazji i nie zapytać, jak Panowie widzą dzisiaj i oceniają ciąg dalszy tych zmagania, które poczynając od września 1939 r. osiągnęły dziś bodaj swe dziejowe apogeum. Jakie szanse mają dzisiaj ludzie, których jedyną bronią jest moc prawdy, moc świadectwa składanego na jej rzecz, ludzie nie dysponujący żadną dywizją, jak Papież czy elektryk z Gdańska? Jak się mają – zdaniem Panów – dziś do siebie w Europie „aktywa” i „pasywa” zasady: „Plus veritas quam vis”, bez urzeczywistnienia której Europa przestaje być Europą, gubi swą tożsamość?

Wyrażając wdzięczność i radość z powodu obecności Panów w naszym gronie gratulujemy również – nie ukrywamy tego! – samym sobie, że przez nasze zaproszenie umożliwiliśmy obu Panom ich pierwsze w życiu osobiste – facies ad faciem – spotkanie, i że spotkanie to, także samo w sobie... historyczne, ma miejsce w mieście, które jest naszą dumą. To przecież z tego miejsca, zaledwie 14 lat po augsburskim „Cuius regio eius religio”, odpowiedziano na nie Unię z roku 1569, która daje początek Rzeczypospolitej Wielu Narodów. A dzieje się to wszystko w Lublinie wciąż jeszcze za króla i dzięki królowi, który na wieść o szokujących warunkach, na jakich w Augsburgu zawierano ugodę, reaguje słowami: „Nie jestem królem ludzkich sumień!” Słów Zygmunta Augusta niepodobna tu nie przypomnieć, skoro właśnie do nich odwołał się Jan Paweł II w swym przemówieniu na Zamku Królewskim w Warszawie inaugurującym przed rokiem trzecią jego wizytę apostolską w Polsce, dosłownie w przededniu jego przybycia tu do nas, do Lublina i na KUL...

Kończę to krótkie wprowadzenie wyrazami serdecznego powitania wszystkich uczestników naszej dyskusji panelowej, w szczególności zaś naszych Gości, którzy zechcieli przerwać swoje zajęcia i przybyć z różnych ośrodków polskich, aby zabrać tutaj głos. Dodam tylko jeszcze, że czuwanie nad dalszym ciągiem naszej rozmowy roztoczy ktoś, kto całym sobą uosabia i wciąż nam tu uobecnia „ethos Września’39” – historyk tego okresu, harcerz Rzeczypospolitej, obecnie profesor KUL oraz nasz kolega redakcyjny – Tomasz Strzembosz. Bardzo proszę o przejęcie przewodniczenia naszemu spotkaniu.

Tomasz Strzembosz

Ja również bardzo serdecznie wszystkich Panów witam. Po tym, co tytułem wprowadzenia powiedział Ksiądz Profesor, już nic mówić nie będę. Natomiast chciałbym poprosić, może najpierw naszych Gości, aby podzielili się swymi refleksjami na temat tego okresu, który – jak mi się zdaje – jest ciągle jeszcze nośny, ciągle częścią swoją trwa w naszej rzeczywistości.



MIĘDZYNARODOWY I HISTORYCZNY KONTEKST

Norman Davies

Zacznę od roku '39, od roku, w którym urodziłem się – przypuszczam, że nie tylko ja jeden w tym gronie. Chciałbym przedstawić dwie tezy: teza pierwsza, że wojna światowa była drugą rundą jednej wielkiej wojny europejskiej, która zaczęła się w 1914 r., a skończyła w r. 1945. Moim zdaniem absolutnie nie można zrozumieć wojny drugiej nie patrząc wstecz na pierwszą. Są to bowiem dwa akty tego samego dramatu. Teza druga, o której chcę mówić, to paradoksalna słabość europejskich mocarstw w przeddzień wybuchu II wojny. Aby ten paradoks zrozumieć, trzeba patrzeć na rok '39 oczyma ludzi, którzy przeżyli I wojnę i których wyobrażenie świata w roku '39 było wynikiem doświadczeń sprzed 25 lat, doświadczeń I wojny światowej. Doświadczenia te przesądziły o sposobie przygotowań do II wojny. Polacy, podobnie zresztą, jak i opinia zachodnia, skłonni są do przyjęcia, że mocarstwa są mocarstwami, że są potężne i nie mają problemów. Jeśli poddamy jednak szczegółowemu oglądowi sytuację wszystkich mocarstw w roku '39, to okaże się, że każde z nich borykało się z poważnymi problemami i w swych działaniach było skrępowane własną słabością.

Zacznę od ogólnego obrazu. Jak już wspomniałem, w roku '39 ludzie pozostawali ciągle pod wpływem doświadczeń I wojny. Dotyczyło to także myślenia o sojuszach. Wielka Brytania była sojusznikiem Francji. Przez cały okres międzywojenny traktowała ona Niemców jak potencjalnego wroga, który mógł ponownie przeciw niej wystąpić. Podobne podejście mieli Brytyjczycy do Rosji. Oczywiście, w roku '39 była to inna Rosja, ale dla nich – myślących ciągle jeszcze kategoriami XIX w. – Rosja była naturalnym sojusznikiem Wielkiej Brytanii, tzn. Zachodu przeciw Niemcom. Oni pamiętali, że Anglia i Rosja miały wspólny interes już od czasów napoleońskich. Tym interesem było ograniczenie niebezpieczeństwa grożącego Brytyjczykom z kontynentalnego środka. Anglicy patrzyli na kontynent tak jak Sycylijczycy, kiedy mówią: „Sicilia e continente”. Anglia i reszta. Niebezpieczeństwo jest gdzieś tam na kontynencie. Daleko zaś za tym kontynentem centralnym jest Rosja. Polakom sprawia może trudność zrozumienie, dlaczego Anglicy czy Brytyjczycy mają taką słabość do Rosji. Ale mija już 200 lat strategicznej współpracy Anglii z Rosją. Nie ma to nic wspólnego z ustrojem tej ostatniej. Dla Anglików jest obojętne czy w Rosji rządzi car, czy Stalin... Jest wśród nas uczo-ny włoski i nie wiem, czy się ze mną zgodzi, ale wydaje mi się, że Włosi w roku '39 również pamiętali o I wojnie, o strasznej ofierze włoskiej i odczuwali niechęć do Niemców i do wypełniania roli, którą Hitler im przygotował.

A teraz przyjrzyjmy się, jak wyglądała sytuacja mocarstw po I wojnie. Austrii już nie było. Została przyłączona do Rzeszy. Jednym z bardzo ważnych wyników I wojny był rozpad Austrii i Węgier. Miał on katastrofalny

wpływ na równowagę europejską. W roku '38 Austria już po Anschlussie przestała istnieć.

O Niemczech chyba nie będę zbyt dużo mówił, ale zwrócę uwagę na kontrowersje, do których dochodzi przy analizie nie tyle strategii, ile raczej taktyki politycznej Hitlera. 45 lat temu Taylor sformułował tezę, że wojna, która wybuchła we wrześniu, nie była wojną, do której Hitler się przygotowywał. Taylor jest germanofobem, nie można go posądzić o sympatie niemieckie, odwrotnie. Jeśli chodzi o mechanizmy polityki hitlerowskiej, Taylor wygłosił tezę, że Hitler w roku '39 czuł się słaby, nie przygotowany i raczej próbował straszyć Europę, zmusić ją do ustępstw bez działań wojennych. Tak jak w '36 wprowadził remilitaryzację Rheinlandu, tak jak w '38 dokonał Anschlussu Austrii, tak jak w '38 zaszantażował Chamberlaina w Monachium. Nie były to wojny, tylko szantaż. Zdaniem Taylora Hitler podobnie chciał postąpić w roku '39. Sądził, że mocarstwa nie będą walczyć i że on wygra bez wojny. Taylor twierdzi, że Hitler przygotowywał się do wojny w roku '43 a nie w '39. Przeciwnicy Taylora twierdzą, że to nie tak, że Hitler dążył do wojny, że uważał, że lepiej wcześniej niż później, że czuł się mocny itd.

Przejdźmy teraz do Francji. W roku '39 była ona potęgą wojskową, miała więcej dywizji niż Niemcy. Zaskoczeniem było to, że Francja mając w roku '39 taką siłę, nie ruszyła z miejsca, że pozwoliła nie tylko na zniszczenie Polski, ale na wzrost potęgi niemieckiej, która rok później została użyta przeciw niej. Słabość Francji tłumaczona jest czynnikami psychologicznymi. Piszę się, że Francja została zniszczona i że wykrwawiła się podczas I wojny światowej. (Warto przypomnieć Verdun. Wpływu I wojny na psychikę Francuzów nie sposób przecenić). W roku '39 Francja psychicznie nie była przygotowana do wojny. Niedawno słuchałem ciekawego referatu wygłoszonego przez młodego historyka angielskiego, specjalistę od wojskowości, który słabość Francji tłumaczył jednak zupełnie inaczej. Jego argumentacja była mniej więcej taka: Francja w roku '18 wyszła z wojny zupełnie wycieńczona, ledwie wytrzymała czteroletnie zmagania. Doszła więc potem do wniosku, że tylko akcje długoterminowe mają jakiś sens wojskowy. Uznała, że nie warto przygotowywać się, tak jak w roku '14 – do wojny błyskawicznej, bo taka nigdy nie będzie miała miejsca. Także Niemcy w r. 1914 myśleli, że wojna będzie krótka, że po 6 tygodniach będą w Paryżu, a potem będą mogli zwrócić się na Wschód. Tymczasem I wojna trwała aż 4 lata. Zarówno Francja, jak i Niemcy okropnie się wykrwawiły. Dlatego Francuzi w roku '39 bardzo starannie i systematycznie przygotowywali się do wojny 4-5 letniej. Sądzono, że pierwsze starcia nie mają większego znaczenia. Dopiero ogromne zmagania milionów w drugim czy trzecim roku wojny będą rozstrzygające. Francuzi wybrali taki a nie inny plan mobilizacyjny. Później okazało się, że plan ten uniemożliwił im szybką kampanię. W roku '39, kiedy przeprowadzili mobilizację, niemal wszystkie ich dywizje frontowe były rozbite na 10 części. Każda z tych 10 części miała być uzupełniona rekrutami z poboru. Założenia te spowodowa-

ły, że armia francuska w pierwszych 3 miesiącach tylko na papierze liczyła 75 dywizji, ale żadna z nich nie była zdolna do ofensywy. Plan mobilizacyjny opracowany na podstawie doświadczenia I wojny światowej uniemożliwił Francji przyjscie z pomocą Polsce w momencie, kiedy napadli na nią Niemcy. Francuzi nie byli w stanie spełnić zobowiązań własnej dyplomacji, tzn. udzielić Polsce pomocy po 2 tygodniach trwania działań wojennych. Tak więc największa potęga militarna w ówczesnej Europie – Francja, nie była w stanie podjąć we wrześniu 1939 r. nawet symbolicznej ofensywy przeciwko Niemcom.

Wielka Brytania, największe wówczas państwo w świecie; półtora tego, co Związek Radziecki w tej chwili; pół świata imperium... Ale, kiedy przeanalizujemy jej możliwości militarne przeciw Niemcom w roku '39, to okaże się, że były one bardzo skromne. W '39 Wielka Brytania miała ciągle jeszcze największą na świecie flotę. Ale tak jak Niemcy nie byli w stanie wkroczyć na Wyspy Brytyjskie, tak Wielka Brytania nie była w stanie swoją flotą wkroczyć na terytorium Niemiec. 1 IX 1939 r. Wielka Brytania miała dwie, a może nawet tylko jedną dywizję gotową do walki. Było to jeszcze mniej niż w roku '14, a pamiętajmy, że w czasie I wojny światowej wojsko brytyjskie taką liczebność, jak francuskie w roku 1914, osiągnęło dopiero w roku 1916, tj. po dwóch latach wojny. Wszystkiemu winna była tradycja: mamy flotę, więc po co reszta... W Parlamencie toczono polemikę o lotnictwo i dopiero w ostatniej chwili przyjęto propozycję Churchilla, żeby je szybko rozbudować. W roku '39 nie było w Wielkiej Brytanii ani jednego samolotu, który by mógł przelecieć do Polski i wrócić stamtąd. Było to technicznie niemożliwe. Musiała więc Wielka Brytania liczyć na działania innych.

Wreszcie Stany Zjednoczone. U schyłku I wojny światowej ogromne zasoby amerykańskie zaczęły płynąć do Europy i one przesądziły o losach frontu zachodniego. Ale w roku '39 Ameryka była wierna tradycji izolacjonizmu i nie miała zamiaru mieszać się w wojnę europejską. Znowu tradycyjny schemat politycznego myślenia Amerykanów: wszystko, co złe, pochodzi z Europy, niech Europejczycy biją się między sobą, to nie nasza sprawa.

Sojusze z roku '18 w '39 nie istniały.

Także o Rosji można powiedzieć, że w roku '39 nie była przygotowana do wojny.

Adolf Juzwenko

Profesor Davies chcąc wytłumaczyć nam Polakom motywy brytyjskiego myślenia o Rosji cofnął się aż do przełomu XVIII i XIX w. Sądzę, że w tych przełomowych dla dziejów Europy czasach szukać także należy klucza do zrozumienia sposobu, w jaki po dzień dzisiejszy myśli się w Polsce o Zachodzie, i tego, jak Polacy wyobrażają sobie powinności Zachodu wobec Polski.

Życie umysłowe i polityczne Rzeczypospolitej w drugiej połowie XVIII w. toczyło się pod wpływem idei oświeceniowych wskazujących kierunek przebudowy ustroju społeczno-politycznego Europy. Sposób, w jaki myślano wtedy o przyszłości w Warszawie, niewiele różnił się od myślenia Paryżan. Pochwały Waszyngtona i konstytucji amerykańskiej równie głośno rozbrzmiewały nad Wisłą jak nad Sekwaną. I tu, i tam oczekiwano, podobnego jak za oceanem, radykalnego przełomu. Wielka Rewolucja Francuska przełom ten zapoczątkowała, wprowadzając narody zachodnioeuropejskie na drogę walki o swe prawa, o prawa człowieka; na drogę kształtowania państwowego ustroju demokracji parlamentarnej. *Deklaracja praw człowieka i obywatela* zakorzeniała się w ludzkich umysłach.

Rzeczypospolitej nie udało się wtedy pójść razem z Europą. Z drogi przemian, likwidujących feudalny przywilej urodzenia i tworzących nowoczesne państwa obywatelskie, Rzeczpospolita zepchnięta została przez Rosję, Prusy i Austrię – mocarstwa z różnych pobudek broniące starego porządku. Przypomnijmy, że Imperium Romanów wchodziło do Europy nie z europejskim dziedzictwem i robiło wszystko, by dziedzictwo to zniszczyć w Polsce. Warto o tym pamiętać zwłaszcza, kiedy analizuje się polskie myślenie o Zachodzie.

W pierwszej połowie XIX w. europejska opinia traktowała rozbiory jak zbrodnię. Sprzyjało to ugruntowywaniu się w Polsce przekonania, że Zachód, w interesie Europy, wspomocze polskie wysiłki niepodległościowe, mające powstrzymać ofensywę azjatyckiej Rosji w głąb starego kontynentu.

Polskie myślenie cechował w XIX w. polityczny idealizm. Zachód stał się wtedy w Polsce uosobieniem wartości i zasad zapisanych w takich dokumentach, jak: *Deklaracja praw człowieka i obywatela* czy Konstytucja Stanów Zjednoczonych. Uchwalając Konstytucję 3 Maja upadająca Rzeczpospolita zostawiała swoim obywatelom w spadku przesłanie wolności. Brak własnego państwa spowodował, że przez kolejne dziesięciolecia było to jednak tylko przesłanie. Polacy nie mieli możliwości praktycznego uprawiania własnej polityki państwowej, przez co skłonni byli oceniać politykę innych niemal wyłącznie opierając się na kryteriach etyczno-moralnych. Najczęściej też kryteria takie stosowali oceniając zagraniczną politykę mocarstw.

Profesor Davies przypominał, że już na przełomie XVIII i XIX w. Rosja w polityce Wielkiej Brytanii zaczęła być traktowana jak potencjalny sojusznik przeciw mocarstwu aktualnie dominującemu na kontynencie: początkowo Francji, a następnie Niemcom. Swego stosunku do Rosji dyplomaci brytyjscy nie uzależniali od charakteru jej rządów. Polakom niełatwo się było z tym pogodzić, a jeszcze trudniej przyszło im pod koniec XIX w. znieść wiadomość, że podobnie jak Anglia traktować zaczęła Rosję republikańska Francja.

Po Powstaniu Styczniowym Polacy zrozumieli, że dysproporcje sił między nimi a zaborcami wykluczają możliwość odzyskania państwowej niepodległo-

ści bez pomocy z zewnątrz. Na nią liczyć już jednak nie można było. Polacy czuli się Europejczykami, tymczasem Europa jakby nie chciała o tym wiedzieć, jakby z nich zrezygnowała. Czas przynosił im kolejne rozczarowania, pogłębiał poczucie krzywdy.

I wojna światowa maksymalnie nadwątlila siły mocarstw zaborczych, zwycięski Zachód zaś pozostawił Europę wschodnią własnemu losowi; historia zaowocowała korzystną dla polskich aspiracji niepodległościowych koniunkturą międzynarodową. Wykorzystali ją Polacy. O swe granice i miejsce pomiędzy Niemcami a Rosją walczyć jednak musieli bez głębszego zrozumienia swych interesów. Zwycięskiemu w roku 1918 Zachodowi zabrakło wizji europejskiej przyszłości. Zabrakło mu – posłużmy się słowami Ignacego Matuszewskiego – „moralnej siły, aby zwycięstwo w polu zamienić w zwycięstwo w historii”. Zabezpieczywszy, jak mu się zdawało, własne interesy, Zachód zapomniał, „iż rolą zwycięzców jest nie odpoczywać, ale tworzyć, nie myśleć o sobie, lecz o wszystkich”.

Ryszard Bender

Z tezą prof. Daviesa, że 1 IX 1939 r. był właściwie drugim aktem tej samej sztuki granej na scenie życia politycznego ówczesnej Europy, ówczesnego świata, że był drugim aktem I wojny światowej, można się moim zdaniem zgodzić. Niemniej zapominać nie można, że 1 IX 1939 r. miał i ma też swoją specyfikę. Od niej, ze względu na różne partykularne racje i motywy, próbują zwłaszcza wielkie mocarstwa – uciekać. W ZSRR uważa się, że dopiero 22 VI 1941 r. był początkiem II wojny światowej. Świadczy o tym m.in. chociażby napis na pomniku żołnierzy radzieckich u nas w Lublinie na Placu Litewskim. Japończycy już swoje wcześniejsze zmagania wojenne ze Związkiem Radzieckim uważają za początek II wojny światowej. My, Polacy, rzadko, ale także mówimy, że właściwie już 23 VIII 1939 r., data paktu Ribbentrop – Mołotow, który ponad tydzień przed 1 IX 1939 r. podzielił Polskę między zaborców, jest faktycznym początkiem II wojny światowej, a 1 i 17 września to właściwie jedynie aplikacja militarna i polityczna tego, co postanowiono w Moskwie 23 sierpnia.

HISTORIOZOFIA WRZEŚNIA

*Rocco Buttiglione**

Chciałbym rozpocząć moje wystąpienie od tego samego punktu, z którego wyszedł Norman Davies, ale uczynię to w nieco inny sposób. Chodzi mia-

* Tłumaczenia wypowiedzi prof. Rocco Buttiglione w tej dyskusji dokonali Karol Klauza i ks. Tadeusz Styczeń.

nowicie o to, że nie możemy mówić o „II wojnie światowej”. Powinniśmy raczej mówić o cyklu wojen europejskich, który rozpoczął się I wojną światową, jest kontynuowany przez II wojnę i nie możemy powiedzieć z całą pewnością, że cykl ten rzeczywiście się zakończył. Nie wiemy bowiem, czy pokój, w którym żyjemy, jest pokojem kończącym wojnę.

Pytanie, jakie chciałbym postawić, brzmi: jaki jest charakter i znaczenie tego cyklu wojen. Podejmując ten problem, chcę występować nie tyle jako Włoch (czyli tak, jak chciałby mi to zasugerować Norman Davies), ile raczej jako filozof.

Pierwsza teza: wspomniany przeze mnie cykl wojen ma znaczenie filozoficzne. Jakie jest to filozoficzne znaczenie? Myślę, że od początku rozumiały go trzy osoby: filozof włoski, nie wiem, czy znany przez was, Benedetto Croce, Lenin oraz papież Benedykt XV. Pod koniec I wojny światowej wszystkie te trzy osobistości były zgodne w ocenie, że wojna ta jest wojną o znaczeniu filozoficznym – jest to wojna rewolucyjna. Jakie jest znaczenie wojny? Croce mówił: „To jest wojna marksizmu”. W tym sensie wojna ujawniła, że obietnica systemu burżuazyjnego, jaką było utrzymanie pokoju poprzez konfrontację dobrze pojętych interesów różnych narodów – otóż, że ta obietnica jest płonna. Klasa liberalna, która obiecywała pokój uniwersalny, w rzeczywistości doprowadziła swe narody do wojny.

Po drugie, nowoczesność nie przeniknęła jeszcze ludu. Masy ludowe są wciąż chrześcijańskie. Lud jest nadal zdominowany przez postawy religijne. Weźmy np. pod uwagę słowa Lenina: „Lud jest przeciwny gwałtowi rewolucyjnemu”. Dlaczego sprzeciwia się gwałtowi? Przez dwa tysiące lat chrześcijaństwo uczyło ludzi „Nie zabijaj”. Obecnie uczy się masy przykazania „zabijaj”. Trudno jest nam wyobrazić sobie, jaki szok przeżyli mieszkańcy wsi na początku tego wieku, kiedy zaciągnięto ich do służby wojskowej, zapędzono do okopów, aby zabijali i byli zabijani. To było doświadczenie masowe, które dotknęło milionów ludzi, bez żadnego porównania z jakąkolwiek dotychczasową wojną w dziejach. Poprzednie wojny w historii były prowadzone w przeciągu krótkiego czasu i przez niewielkie oddziały zawodowych wojowników. Kończyły się też mniej lub bardziej wyrównaną liczbą poległych w wyniku pełnych swoistego podniecenia zmaganiań bitewnych. Ta wojna była wojną rewolucyjną, ponieważ wprawiła w ruch masy oraz wyrwała im tę mentalność religijną, opierającą się na zasadzie szacunku dla życia, która wciąż jeszcze trwała w nich, chociaż nowoczesna kultura przewyciężała ten etap. Tu można wskazać na inne nazwisko – Nietzsche. Kiedy mówił on o polityce, to przewidywał możliwość upowszechnienia się doświadczeń na poziomie światowym, ludowym, doświadczeń głoszących: „Nie ma prawdy absolutnej, historia jest historią walki na śmierć i życie o uratowanie siebie samego. Nie jest rzeczą ważną, czy przybiera to formę walki państwa przeciw państwu, czy klasy przeciw klasie”. Właśnie mocą upadku wymienionych prawd historia stała się historią siły.

Papież zrozumiał to i z tego przekonania wynikał jego sprzeciw wobec I wojny światowej. Stało się ono podstawą całej późniejszej polityki Stolicy Apostolskiej, aż do dnia dzisiejszego.

Lenin rozumiał to także i stosował w odniesieniu do wojny rewolucyjnej. Croce był tego wszystkiego świadomy, a nie będąc entuzjastą, z faszysty stał się wielkim antyfaszystą. Wstęp do jego książki o marksizmie z 1916 r. czyni zeń jednego z przodków faszyzmu, jakiegoś prefaszystę, ponieważ z nacjonalistycznego punktu widzenia oceniał go pozytywnie.

Spójrzmy z perspektywy tej filozofii historii nowożytnej na Polskę. Wydaje mi się, że II Rzeczpospolita była jakby ostatnią pozostałością dawnego cesarstwa rzymskiego. W sposób zresztą zupełnie osobliwy. Wskutek chrztu nie została ona bowiem nigdy jego częścią. Przejęła natomiast sama jego ideał państwa opartego na sprawiedliwości i prawie, i usiłowała go urzeczywistnić. Wymownym tego świadectwem jest memoriał rektora Uniwersytetu Krakowskiego Pawła Włodkowica przedłożony – w kontekście sporu z Krzyżakami – Soborowi w Konstancji, nie mówiąc już o Unii Lubelskiej (1569) dającej początek Rzeczypospolitej Wielu Narodów, co ze względu na zupełnie odmienną linię rozwojową, jaką zapoczątkował 14 lat przedtem tzw. Pokój Augsburski (1555) poprzez swe: „*Cuius regio eius religio*” – zasługuje na szczególne podkreślenie. Augsbrg 1555 i Lublin 1569, tylko 14 lat różnicy, a różnica kierunków, którymi biegną ich drogi, to przepaść, i w filozofii historii, i w samej historii. Co mają bowiem wspólnego ze sobą: „*Cuius regio eius religio*” i „*Plus ratio quam vis*” jako zasady mające stanowić moc napędową dziejów? Nie można więc powiedzieć, że współczesna historia nie znała przykładu państwa, w którym panuje nie tyle naród narodom, ile sprawiedliwość narodom. Niestety, ta sama współczesna historia stała się widownią ulegania pokusie utożsamienia racji i prawa (i prawdy!) z siłą („*Plus vis quam ratio*”), stała się – innymi słowy – historią immanentyzmu i nacjonalizmu: siła narodu decyduje ostatecznie o jego racji; bądź też immanentyzmu i „klasizmu”: siła klasy decyduje ostatecznie o jej racji. Pokusie tej uległy najsilniejsze spośród narodów Europy: Niemcy i Rosja. W tym sensie fakt, iż Rzeczpospolita i cesarstwo austriackie uległy likwidacji, staje się wyrazem nie jakiegoś przypadkowego tylko zbiegu okoliczności, lecz także wyrazem pewnej filozoficznej konieczności. Przynajmniej od momentu, gdy liczące się w Europie ośrodki władzy uznały, że to ich siła jest ich ostateczną racją. I jedyną prawdą. Lecz właśnie dokonując tej likwidacji, immanentyzm sam wszedł w stadium kryzysu. Odtąd bowiem stało się widoczne, a nawet przerażająco jasne, że polityka immanentyzmu jest drogą, która prowadzi świat do katastrofy. Oto dlaczego walka o godność prawdy i o godność człowieka nie jest dziś sprawą dla jakichś tylko romantyków, przeciwnie, stanowi jedynie możliwy sposób prowadzenia walki mającej na celu ocalenie ludzkości przed ostateczną katastrofą.

Podsumujmy nasz wywód:

Pierwsza teza: wojna współczesna ma znaczenie filozoficzne, lub raczej historia współczesna ma znaczenie filozoficzne. W historii współczesnej idee filozoficzne stają się praktyką. W różny sposób i na różnych poziomach idea, która staje się praktyką, jest ideą siły. Oczywiście, i dotąd w historii europejskiej nie brakowało tej idei. Owszem, ma ona raczej długą historię. Rozbiory Polski w końcu XVIII w. były zaledwie jednym z etapów tej historii. Tym razem zaistniał jednak skok jakościowy. Należy bowiem stwierdzić, że cykl wojen europejskich doprowadził niejako do sytuacji samobójstwa Europy.

Druga teza: jeśli dotychczasowa historia Europy jest związana z ideą prymatu rozumu nad siłą, i z uznaniem podmiotowej godności osoby ludzkiej, którą absolutnie należy afirmować, to cykl wojen podjętych w imię zasady, iż siła decyduje o prawdzie, oznacza śmierć Europy i jej błąd.

Trzecia teza: nie jest pozbawiony symbolicznego znaczenia fakt, że kryzys europejski znalazł właściwe sobie miejsce w Polsce, że odsłonięcie kurtyny historii miało miejsce właśnie tutaj.

Dopiero co wspomniałem o rozbiorach. W pewnym sensie Polska do XVIII w. była reliktem średniowiecza wśród społeczeństw epoki nowożytnej, w czasie, gdy inne państwa tworzyły się w oparciu o zasadę siły i przy wykorzystaniu centralizacji władzy, ofiarowując swoim władcom prawo do dysponowania siłami ekonomicznymi i wojskowymi, a tym samym pozwalając im prowadzić politykę z pozycji siły. Ze względu na szereg racji, które mógłby nam wyjaśnić szerzej prof. Davies, Polska nie poszła jednak tą drogą. Działała raczej w kierunku przeciwnym. Utrzymywała się w niej sytuacja anarchii, czy też wolności typu średniowiecznego.

Rozbiory Polski w pewnym sensie były tego konsekwencją. Polska wydaje się być punktem szczególnego oporu dla tej nowożytnej zasady prymatu siły. Jest to o tyle prawdziwe, że istnienie niepodległej Polski, i to takiej właśnie Polski, było wysoce niewygodne, nie dawało się pogodzić ze strukturą europejską, opierającą się na tej właśnie zasadzie. Argumenty polityczne wskazują, że w Europie potęg, zdominowanej przez pragnienie władzy, Polska miała zawsze trudne życie.

Czwarta teza, którą chciałbym przedstawić, głosi, że kryzys ten jeszcze się nie zakończył, ponieważ Jalta jest w pewnym sensie kontynuacją tej samej zasady prymatu siły, który doprowadził do cyklu wojen światowych.

Ks. Czesław S. Bartnik

Profesor Davies podaje szeroką historiografię Przed-września oraz Września 1939 na planszy Europy i USA, poczynając od I wojny światowej, a kończąc na roku 1945. Profesor Buttiglione dodaje jeszcze ogląd Września w perspektywie humanistyczno-moralnej. Przypomnienie faktu, że Hitler i Chamberlain byli w swoim czasie kandydatami do pokojowej nagrody Nobla, uświadamia nam prawdę o zmienianiu się poglądów i ocen historycznych oraz

ową inność widzenia Września w zależności od kraju i państwa. W poznaniu historycznym występują zawsze różne perspektywy; w patrzeniu na Wrzesień występują także różne perspektywy poznawania.

Wydaje mi się, że moi przedmówcy mówili o Wrześniu, w tym i o Polsce, ale bez perspektywy polskiej. Tymczasem Września nie można sprowadzać do samej Polski, ale i nie można mówić o nim prawidłowo z pominięciem perspektywy polskiej, z pominięciem tego, co się właśnie wydarzyło w Polsce i w związku z Polską.

Polska we Wrześniu '39 musiała podjąć własną decyzję wobec istotnego problemu historii własnej i europejskiej. Cóż to był za problem? Istnieje pokusa jednakowego traktowania każdego państwa i każdego narodu w jego profilu zbiorowym, z pominięciem kryteriów psychologii różnicującej, a więc i traktowaniu jego dziejów jako tylko wypadkowej współczynników czysto materialnych i empirycznych. Okazało się jednak, że w owej wojnie, zwłaszcza w przypadku Polski, liczą się nie tylko czynniki materialne, lecz także, a nawet przede wszystkim, duchowe: honor, godność narodu, wolność, moralność. Z opublikowanych ostatnio planów strategicznych Polski wynika jasno, że ówczesni przywódcy nie mieli złudzeń: nie liczyli na wojnę wygraną, ani z Niemcami, ani z Rosją. Wojna obronna stawiała sobie za cel „tylko” honor i wartości duchowe. Naród polski podjął taką decyzję w większości. Jest również i taka pokusa, by w historiotwórczości, polityce, cywilizacji, gospodarce – odrzucić wszelkie normy etyczne, zwłaszcza chrześcijańskie, jako naiwne, nierealne, złudne w swej mocy dziejowej. Wydaje się jednak, że ogół Polaków nie uległ tej pokusie nihilizmu i cynizmu moralnego. Dlatego w „wielkim teatrze” II wojny światowej doszedł do głosu specyficznym nasz „teatr” Września '39, nie tyle w sensie tematu materialnego, ile duchowo-moralnego.

Wrzesień '39 dla nas – po rozbiorach – było to potężne wyzwanie rzucone ówczesnym 30 kilku milionom ludzi: Polaków i nie-Polaków zamieszkujących obszar II Rzeczypospolitej. Szatan „przesiał nas wszystkich jak pszenicę” (Łk 22, 31). Najokrutniej postąpił z Żydami polskimi i ściągniętymi do Polski. Ale wiadomo było, że ten sam los mieli podzielić w drugiej kolejności także Polacy. Pamiętam dobrze swąd owych piekielnych ogni gehenny. Polacy podejmując decyzję obrony, wzięli na siebie ogromne ryzyko, że tych dni nie przeżyją Żydzi i nie przeżyją oni sami. Przy tym i Żydów, i nas opuścili wszyscy, zwłaszcza Anglia i Ameryka. Czy Polakom wolno było nie podjąć takiej decyzji obrony? Wydaje się, że nie było wyjścia. Są w historii takie dni ciemności, takie dni szatana, przed którymi nie można – i nie wolno – uciec. Wrzesień '39 zagroził naszemu państwu, bytowi narodu, naszej duszy (J. Beck), Kościołowi polskiemu. Rozpalił ognisko, które żarzy się do dziś i wokół którego snują się złowróżbne cienie. Boimy się, boją się narody ościenne, czy uda się nam ożyć i odzyskać pełną godność bez wojny, także bez wojny domowej. Siły duchowego dobra i zła rozdzierają nas głęboko. Tyle państw

brało udział w tym „teatrze wojny”, a dlaczego najcięższy los przypadł Polsce, tyle lżejszy przypadł Finlandii, Jugosławii, Grecji, Austrii, nawet samym Niemcom? Dlaczego też tak okrutny los spotkał narody szczególnie z nami związane: Litwinów, Białorusinów, Ukraińców? Czy popełniliśmy również w przeszłości jakiś wielki grzech w rodzinie narodów? A może rozgrywamy jakiś szczególny temat historii najnowszej? Budzimy sumienia, budujemy zasadę non violence („Solidarność”), rozwijamy braterstwo międzynarodowe, uczymy się chrześcijaństwa w historii. Jesteśmy szczególną lekcją historii „ludzkiej” dla narodów ZSRR. Następuje chyba pogłębiona tematyizacja historii, próba jej humanizacji, ustawienia jej „z prądem sumień” (K. Wojtyła).

Nie jesteśmy odgradzeni od reszty świata ani nie stanowimy idealnego wyjątku: walka dobra i zła, prawdy i zakłamania, tradycji i „nowego”, rozumu i nierozumu – toczy się w całym „teatrze ludzkim”, w każdym narodzie i na każdym ludzkim miejscu, ale nasz naród (na który może się składać wiele jednostek etnicznych w sensie antropogenetycznym) ma tu swój specyficzny wkład w kształtowanie się dziejów, wnosi w nie swój niepowtarzalny profil, odpowiadający psychice społecznej i cechom duchowym Polski. Kto chce poznać ów głęboki nurt dziejów współczesnej ludzkości, choćby był z Ameryki, Azji czy Australii, musi poczynić refleksję także nad wydarzeniem polskiego Września, którego fale rozeszły się na cały świat i który całkowicie przekształcił obraz świata, rozpoczął nową epokę historyczną i odsłonił w historii prymat problemów duchowych.

Janusz Krupski

Chciałbym nawiązać do tej wypowiedzi prof. Daviesa, w której mówił o II wojnie jako o drugim etapie, czy dalszej części, wojny pierwszej. Myślę, że trzeba by było jednak wyraźniej podkreślić odmiennność tego etapu drugiego. Ta wojna miała charakter totalny. Wojna pierwsza zamykająca pewną epokę, którą tutaj wywodzono chyba jeszcze od reformacji, mianowicie epokę nowożytną, przygotowywała oczywiście pewien grunt do powstania systemów totalnych, ale wojnę drugą wywołały już systemy totalne. Polska 1 września przeciwstawiła się systemowi totalitarnemu. Dla społeczeństwa polskiego świadomość konieczności walki z przeciwnikiem, czy też z przeciwnikami, była sprawą nie tylko obrony granic, obrony niepodległości, tak jak można by to było rozumieć w jakichś pojęciach klasycznych, dawnych. Była to wojna o kulturę i człowieka. Systemy totalitarne proponowały nowy wzór człowieka. Polska jako pierwsza miała doświadczyć na sobie wprowadzania na siłę tego nowego modelu. Gdy przeglądamy prasę z okresu bezpośrednio przed Wrześniem '39 roku, to ta odmiennność systemów, nie tylko odmiennność doświadczeń historycznych, ale zupełna odmiennność światopoglądów, jest szczególnie mocno podkreślana. Dla społeczeństwa polskiego oczywiście było to, co zrobił rząd polski nie decydując się ani na zawarcie sojuszu z Ro-

sją bolszewicką, ani z Niemcami. Nie była to decyzja wynikająca tylko z jakiegoś rachunku politycznego. Rząd miał świadomość poparcia całego społeczeństwa dla takiego rozwiązania. (W późniejszej dyskusji wrócę do sprawy tego poparcia).

Wojciech Chudy

Jako wrażliwy na przebieg tej dyskusji przedstawiciel redakcji „Ethosu”, patrzę z przerażeniem na zegarek i widzę, że będzie nam trudno wyjść w przewidzianym czasie poza początek wojny. Proponuję w kilku zdaniach uogólnić i dookreślić to, co już osiągnęliśmy. Powiedzieliśmy już tutaj wiele. Może w sensie historiozoficznym, w tym ważnym dla nas sensie ethosu dziejów najistotniejsze jest to, że z chwilą podjęcia przez Polskę decyzji o oporze przeciwko Niemcom, czyli podjęcia decyzji o wojnie, został nagle obnażony mechanizm nowożytnej polityki, mechanizm, którego symbolem teoretycznym jest dzieło Machiavellego *Książę*. Polityki, w której oddziela się porządek świecki, porządek gospodarki, ekonomii, państwa i wojny (właśnie nagej siły wojennej, o której mówił prof. Buttiglione) od religii, etyki i wartości moralnych. Myślę, że dochodzi się do tej konkluzji nawet nie idąc tak daleko, aby dopatrywać się w działaniach politycznych jakiejś wspólnej historiozofii, jak to przedstawił ks. prof. Bartnik, ale ograniczając się w kierunku myślenia Normana Daviesa, który widzi tutaj pewien zbieg przypadków, zestaw zdarzeń politycznych i historycznych, które siłą rzeczy, samą siłą logiki oderwania polityki od wartości moralnych doprowadziły do tego punktu września 1939 r., chociaż żadne z mocarstw de facto do tego nie było przygotowane. Tak więc w tym momencie, jak można podsumować, został obnażony ten mechanizm. Polska podjęła wyzwanie dziejowe. Nie Czesi, którzy mogli podjąć to wyzwanie, nie Austria, która – co się wydaje również naiwne, ale trzeba powiedzieć – mogła je podjąć, mogła nie dopuścić do Anschlussu. Jałowość mechanizmu politycznego nowożytności po Augsburgu została obnażona. Sądzę, że jest to ważną tezą naszej dyskusji i proponowałbym, aby w dalszej kolejności zająć się już wojną i jej ethosem. Dość głęboko określiliśmy już korzenie tej wojny w dziejach i dla dobra dyskusji winniśmy obecnie przejść do wojny i jej implikacji aż do naszych czasów.

OBRONA WARTOŚCI

Adolf Juzwenko

Analizując politykę mocarstw w latach poprzedzających wybuch II wojny światowej, odnieść można wrażenie, że Zachód zaskoczony został nie tym, co się stało we wrześniu 1939 r., ale tym, co przyniósł rok następny, kiedy upadł Paryż.

II Rzeczpospolita swą polityką zagraniczną – prowadzoną raz lepiej, raz gorzej – szukała pokoju. Pokój zaś miał jej zapewnić warunki do społecznego, politycznego i gospodarczego wzmocnienia państwa, do zintegrowania narodu. Powersalska Europa nie stała się jednak kontynentem sprzyjającym polskim dążeniom. Narody mocarstw ościennych dały sobą rządzić partiom politycznym o skrajnych, ekstremalnych rodowodach, nie uznających rozwiązań kompromisowych. Na ich czele stali zbrodniarze. Natomiast politycy i społeczeństwa państw zachodnich wybuchające w świecie konflikty starały się rozwiązywać poprzez kompromisy z nimi.

Kompromis kosztem cudzej krzywdy staje się rozwiązaniem wątpliwym. W polityce zaś europejskiej lat trzydziestych okazał się szybko krótkowzrocznym egoizmem. Jego ofiarą stała się we wrześniu 1939 r. Polska.

Z perspektywy 50-lecia interesujące jest spojrzenie na Wrzesień w kontekście XX-wiecznych dziejów Polski. Polacy II Rzeczypospolitej to naród, który aż za dobrze znał gorzki smak niewoli, którego znaczna część długo doświadczała, czym jest życie narodu, ukształtowanego przez europejskie wartości, poza europejskim kręgiem cywilizacyjnym, narodu, który przeżył radości i nadzieje związane z odzyskaniem niepodległości, który był dumny z powrotu do europejskiej rodziny narodów suwerennych. Naród ten nie miał wątpliwości, jakiej ma udzielić odpowiedzi nazistowskim Niemcom wspartym przez bolszewicką Rosję. Odpowiedział „nie”! Wola obrony niepodległości była wśród Polaków powszechna.

Polska nie wytrzymała we wrześniu 1939 r. uderzenia z dwóch stron, a w latach wojny nie zdołała obronić państwowej suwerenności. Utraciła ją, jak zauważa prof. Davies w jednym z rozdziałów swej pięknej i mądrej książki *Serce Europy*, nie tylko wskutek własnej i nie tylko przez nią zawinionej słabości. Utraciła ją, bo jej wrogowie byli znacznie silniejsi i znajdowali się tuż za miedzą, zaś przyjaciele nie tylko, że dalecy, to jeszcze krótkowzrocznie, egoistycznie niezdecydowani.

Wola i zdecydowanie, z jakim we Wrześniu, a potem w latach wojny i okupacji, Polska się broniła, wskazują, że Polacy byli na właściwej drodze, by stworzyć silne, demokratyczne państwo europejskie. Niestety zabrakło na to czasu.

W literaturze historycznej rok 1939 traktuje się często jak datę kończącą dzieje II Rzeczypospolitej. Nic bardziej błędnego. II Rzeczpospolita nie przestała wtedy istnieć. Klęskę Powstania Warszawskiego uznać by należało za jej załamanie się, Jaltę zaś za zgodę Zachodu na oddanie Polski pod wpływ Związku Radzieckiego.

Tomasz Strzembosz

Pragnę nawiązać do podniesionego tutaj zagadnienia walki o pewne wartości oraz do kwestii dziedzictwa, które przejęliśmy od tamtego pokolenia,

dziedzictwa, które trwa do dzisiaj. Jestem historykiem, który na dzieje patrzy nie z lotu ptaka, nie ogląda z góry wielkich procesów, ale patrzy na historię oczyma tysięcy prostych ludzi. Mam w swych zbiorach około 2 tysięcy relacji zwykłych szarych ludzi: żołnierzy, chłopów, robotników, mieszkańców miast i wsi. Dzięki temu mogę na Wrzesień i lata następne spojrzeć niejako ich oczyma. Mogę – tak mi się zdaje – próbować odtworzyć ich sposób myślenia.

Wojna roku 1939 była przede wszystkim wojną w obronie niepodległości. Już w pierwszych jej dniach stawało się coraz jaśniejsze, nawet dla tych, którzy karmieni mocarstwową propagandą myśleli o rychłym zwycięstwie antyhitlerowskiej koalicji, że w rzeczywistości wojna toczy się w obronie takich wartości, jak niepodległość, całość i suwerenność państwa, o wolność jego obywateli, o życie własne i o życie najbliższych. Była to wojna obronna, wojna sprawiedliwa. Nie o nabytki terytorialne czy o „honor króla”, ale o sprawy zupełnie podstawowe. Tak jak to słusznie powiedział pan Juzwenko, walczyliśmy o jedną właściwie wartość: byt niepodległy.

Ale po zajęciu ziem polskich, a zwłaszcza po 17 września, nastąpiło wyraźne poszerzenie ideowego podłoża tej wojny. Zmienił się jej charakter. Polski opór wobec wroga, teraz już: okupanta – znalazł nowe uzasadnienia; jego podstawy stały się jeszcze głębsze, walka stawała się sprawą jeszcze bardziej osobistą. Świadomość tego trwa i jest wielokrotnie wyrażana, może niedostatecznie precyzyjnie, czasem – pośrednio i nieudolnie, gdy mówią o tym ludzie prości, ale wydaje się faktem niepodważalnym. Pierwszym nowym czynnikiem, który zostaje włączony w ethos walki jest godność ludzka. W tę ludzką godność uderzał w sposób niezwykle dojmujący ów „nowy ład”, nowy system: społeczny, polityczny, gospodarczy, który zaczęto budować już w październiku 1939 r. na zachód i na wschód od linii Bugu i Sanu. I jeden, i drugi system: niemiecki i radziecki był tak dalece inny od tego, w którym nauczono się żyć w ciągu ostatnich lat dwudziestu, że samo zetknięcie się z nim – a były to zazwyczaj zetknięcia twarde i brutalne – było niepomiarne wielkim szokiem. Było zawaleniem się świata.

Na ziemiach włączonych do Rzeszy, ale także w Generalnej Guberni, powiedziano nam od razu, że jesteśmy tylko podludźmi, że zadaniem naszym jest słuchać i pilnie wykonywać rozkazy. Żydzi i Cyganie nie byli nawet tym: okazali się robactwem do szybkiego zgniecenia, ale Polacy mieli jeszcze przez pewien okres przetrwać, tyle że w roli współczesnych niewolników, wiecznych poddanych „rasy panów”. To, oczywiście, raniło ludzką godność i dumę narodową. Znaleźliśmy się na samym dnie totalitarnej maszyny państwowej i konsekwencje tego odczuliśmy dostatecznie mocno. Nie chcieliśmy tego straszego, przerażająco nieludzkiego, obcego świata, który od wczoraj stawał się „naszym światem”, broniliśmy się przed nim wewnątrz i broniliśmy z bronią w ręku.

Z kolei na ziemiach wcielonych do Związku Radzieckiego pozornie nie staliśmy się niewolnikami, kimś gorszym od wczorajszych obywateli ZSRR,

ale godność nasza była raniona jeszcze mocniej, jeszcze dotkliwiej. To był kraj, w którym stosowano w pełnym wymiarze zasadę: „Cuius regio eius religio”. Wszyscy jego obywatele byli zobowiązani do wyznawania i czynnej realizacji zasad komunizmu, a my się nimi staliśmy niemal zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej, formalnie – z dniem 1 XI 1939 roku, faktycznie – wcześniej. Staliśmy się nimi nie w wyniku jednoosobowej, autorytatywnej decyzji Führera, ale w efekcie upokarzającego, dokonanego pod groźbą uwięzienia, a czasem pod bezpośrednią presją żołnierskiego bagnetu – ale własnymi rękami – „aktu wyborczego”. Przez wrzucenie do urny zaklejonej koperty z jedną tylko, taką samą, kartką. Dokonać tego musiał każdy, choćby był stary czy chory, osobiście, wbrew nakazowi sumienia i własnej woli, wiedząc, że wymuszony na nim akt jest bez znaczenia, gdyż decyzje już dawno zapadły. Musiał wrzucając tę bez znaczenia kartkę wyrzec się własnej ojczyzny a głosować za obcą, nieraz – okrutnie obcą. Dokonać aktu zdrady po to tylko, by przetrwać, żeby nie zostać aresztowanym, wywiezionym, pobitym. Musieli tego aktu dokonać nawet ci, których uznano za „wrogów ludu” i skazano na wyniszczenie. Wszyscy. Trudno było bardziej zdeptać ludzką godność, poczucie własnej tożsamości: osobistej, państwowej i narodowej. Potem przyszły dalsze akty raniące dumę polską, upadlające i zniewalające. System hitlerowski wymagał od Polaków jedynie pełnego podporządkowania się, lojalności i posłuszeństwa. System stalinowski wymagał od nowych obywateli objawów przywiązania, miłości i akceptacji dla zaborczego państwa, które trzeba było traktować jako państwo wyzwoliciela – nową, dobrą ojczyznę. Trzeba było uczestniczyć w pochodach, wznosić okrzyki, klaskać na niemal codziennych wiecach, oklaskując nieporadnych i prymitywnych agitatorów wypowiadających o Polsce słowa pełne pogardy i nieznamomości najprostszycy realiów. Trzeba było własnymi rękami złamać własne poczucie dumy i niezależności albo uciekać i kryć się po lasach i bagnach, przebić się przez strzeżoną granicę, opuścić swoich najbliższych.

Walka przeciwko jednemu i drugiemu okupantowi przekształcała się w walkę z systemem, odbierającym ludziom nie tylko wolność osobistą i narodową, lecz także godność człowieka.

Nadto prawo radzieckie było – i tak to odczuwano – absolutnym bezprawiem. Można było mieć proces o działalność kontrrewolucyjną za to, co się robiło kiedyś, nawet bardzo dawno, w „pańskiej Polsce”. Za to, że się było polskim urzędnikiem, uczestnikiem wojny roku 1920, instruktorem harcerskim, członkiem „Strzelca”, wojskowym. Prawo działało wstecz i zakładało, że każdy z aktualnych obywateli ZSRR jest nim od urodzenia. Wszystko, cały dotychczasowy system wartości i system powinności, uległo odwróceniu. To, co dotąd było jasne i oczywiste, stawało się z dnia na dzień mętne i zakwestionowane. Budził się opór, narastał straszny sprzeciw, hamowany jedynie lękiem. Na ziemiach wschodnich było to odczucie powszechne. Ogarniało nie tylko Polaków, znane było także Białorusinom i Ukraińcom. Nawet tym,

którzy początkowo witali Armię Czerwoną pod bramami tryumfalnymi i z muzyką. Właśnie Ukraińcy podejmą jako jedni z pierwszych walkę z radzieckim systemem, tworząc już w 1940 r. oddziały zbrojne, staczające potyczki z wojskami pogranicznymi, będącymi jedną z formacji NKWD, a Białorusini zamkną się w sobie i zaczną inaczej patrzeć na tę odeszłą w przeszłość Polskę, która nie była dla nich miłującą matką i od której nie zawsze otrzymali chleb i szacunek, jakim obdarzano etnicznych Polaków, ale która nigdy nie była tak okrutna, tak upadlająca.

Innymi wartościami zakwestionowanymi przez oba państwa zaborcze były: religia chrześcijańska i związany z nią sposób patrzenia na świat oraz kultura polska, szerzej: kultura europejska sensu largo, w najszerszym rozumieniu. Ta kultura, w której człowiek jest wartością wielką i trwałą, podmiotem, punktem odniesienia. Wreszcie systemy te zakwestionowały całą dotychczasową kulturę polityczną, opartą na – jak byśmy to dzisiaj powiedzieli – pluralizmie, wielości podmiotów politycznych. Dawniej nazywało się to po prostu demokracją.

„Baza” podstawowych wartości, o które szła walka, poszerzała się więc coraz bardziej. Wreszcie przeradza się ona w dramatyczny bój o samo biologiczne przetrwanie. Zagrażają mu obaj zaborcy. Niemcy przez zagładę Żydów i Cyganów, wyniszczanie inteligencji, obozy koncentracyjne i pacyfikację wsi, egzekucje, wywóz na roboty do Rzeszy, eksploatację ekonomiczną, przesiedlenia na Zamojszczyźnie i ziemiach wcielonych do Rzeszy. Rosjanie przez masowe deportacje w głąb ZSRR, ograbienie z żywności i przedmiotów pierwszej potrzeby, odbieranie ziemi i domów, a tym samym skazywanie ogromnych grup ludzi na nędzę, wreszcie więzienie i zsyłanie do łagrów tych wszystkich, których mogłoby być stać na jakikolwiek opór.

Janusz Krupski

Wydaje mi się w związku z głosami pana Tomasza Strzembosza i pana Adolfa Juzwenki, że panowie mówiąc o obronie niepodległości Polski w '39 i dopiero potem o walce o wartości, nie doceniają tego, co zostało dokonane w II Rzeczypospolitej, także tego, czego dokonał Kościół. Może te fakty nie są doceniane dzisiaj m.in. dlatego, że istnieje podkreślany przez wszystkich grzech antysemityzmu, ciążyący szczególnie na polskim Kościele, ale i na polskim społeczeństwie. Jednakże wydaje mi się, że w naszym społeczeństwie, w sferze budowy wartości w okresie II Rzeczypospolitej zrobiono bardzo wiele. Nie była to przy tym tylko praca Kościoła. Zrobiono wiele we wszystkich warstwach społecznych, chociaż też bym tego nie generalizował, że wszyscy na tym samym poziomie.

Myślę, że społeczeństwo nasze w różnych warstwach zostało niejako uczulone na wartości podstawowe w konfrontacji z sąsiadami. Po pierwsze, z Rosją doświadczenia są dotkliwe: przecież małe Katynie zaistniały już w la-

tach 1918-1919: np. pod Mińskiem, w Łoszycy w lasach dokonywano egzekucji polskiej inteligencji. I to było obok wszystkich okrucieństw rewolucji bolszewickiej pewne ważne doświadczenie. Po drugie, Niemcy hitlerowskie były przez Kościół bardzo silnie potępiane zarówno w listach pasterskich, jak i przez ówczesną publicystykę. Mówiono wiele o pogaństwie hitlerowskim. Tak to właśnie nazywano: hitlerowskie pogaństwo. I myślę, że to w jakiś sposób było obecne w różnych warstwach, że było w nich poczucie wartości podstawowych i świadomości narodowej. Warto przypomnieć np. liczne sytuacje po 17 września, kiedy żołnierze chłopów oddawali swoje mundury oficerom, mówiąc: „my sobie jakoś poradzimy”. Jest to sygnał takiej właśnie solidarności. Myślę natomiast, że jeśli chodzi o postawy mniejszości narodowych, trzeba być ostrożnym z generalizacją. Mówi się, że kiedy Rosjanie weszli do Polski, byli przez Białorusinów i Żydów witani kwiatami, i że dopiero polityka radziecka na tych ziemiach ich otrzeźwiła. Ale np. w mojej rodzinie zachowała się dobra pamięć o Żydach z tego okresu: moja teściowa wyrzucona wraz z rodzicami z dworu przez bolszewików była przechowywana i broniona przez społeczność żydowską z pobliskiego miasteczka. Przygarnęli, bronili, pomagali.

Z kolei jeśli mówimy o różnicy sytuacji, szczególnie sytuacji polskiej w czasie wojny pierwszej i drugiej, to trzeba zauważyć, że wojna druga jest wojną całego społeczeństwa, a nie tylko elity. Na przykład dla wielu chłopów niepodległe państwo polskie nie było sprawą, o którą należałoby walczyć. Przekonali się o tym zresztą legionści. W roku 1920, kiedy toczono zwycięską wojnę z Rosją bolszewicką, w trakcie tej wojny (są na to raporty) obok Żydów pobieranych do wojska z poboru najwięcej dezertersów było wśród chłopów. Wielu chłopów uciekało też przed poborem. Natomiast w okresie międzywojennym wykształca się poczucie narodowe chłopów i umacnia się jego związek z państwem. I w związku z tym np. Westerplatte bronili w dużej mierze żołnierze pochodzenia chłopskiego, oceniani i przez przeciwników, i przez własne władze wojskowe jako najbardziej bitni i zdyscyplinowani (mówię o żołnierzach szeregowych i podoficerach, bo skład korpusu oficerskiego to już inna sprawa). O tym uobywatelnieniu chłopów świadczy jeszcze jeden fakt. W okresie wielkich napięć społecznych w Polsce chłopów w roku '38 przygotowują wielki strajk, są opozycyjnie nastawieni wobec władzy. W momencie, gdy pojawia się zagrożenie bytu narodowego, związane z Monachium, z aneksją Czechosłowacji przez Niemcy hitlerowskie, chłopów ten strajk odwołują. Jest to, myślę, ważny dla przyszłości akt tej najliczniejszej warstwy społecznej w Polsce.

WALKA I POSTAWY POLAKÓW

Tomasz Strzembosz

Tak. W okresie przed II Rzeczpospolitą bywało różnie. Kiedy na Kielecczynę, zamieszkałą wszak przez ludność wiejską całkowicie polską, wkraçały oddziały I kompanii kadrowej Brygady Piłsudskiego, chłopcy pytani o wojska rosyjskie odpowiadali: „nasi” już odeszli, są tu i tu. A ci „nasi” to byli np. Kozacy dońscy, wojsko carskie. Pisze o tym z bólem Piłsudski. Podobnie na północnym Mazowszu, gdy w 1920 r., do niektórych wsi wkraczała Armia Czerwona, mówiło się o niej „nasi”. Dopiero potem, gdy dochodziło do gwałtów i rabunków, okazywało się, jacy ci „nasi” są. Pełne uobywatelenie chłopca polskiego nastąpiło dopiero w okresie dwudziestolecia. Pieczęcią, przybijającą ten fakt, jest siła i znaczenie Batalionów Chłopskich w czasie II wojny światowej, masowy udział chłopów w Armii Krajowej, a przedtem pełna mobilizacja do Wojska Polskiego w 1939 r.

Ogólnie można powiedzieć, że czas wojny, zwłaszcza zaś okres okupacji, to czas samostanowienia szarego człowieka. To czas, gdy może bardziej niż kiedykolwiek decydował on o losach kraju, który nazywał Ojczyzną. Bardziej niż kiedykolwiek był wolny w swoich decyzjach i bardziej niż kiedykolwiek od tych jego wolnych decyzji zależało to wszystko, co było polskim, własnym wkładem w los kraju i losy Europy. Żołnierz konspiracji nie był żołnierzem zmobilizowanym, który do walki wychodzi z jakichś koszar. Do walki wychodziło się z własnego domu. Z domów wychodzili do walki ci żołnierze, którzy przedzierając się przez Karpaty szli do Francji, na nowe pole bitwy. Z domów wychodzili przyszli partyzanci, żołnierze „Burzy”, wreszcie warszawscy chłopcy i warszawskie dziewczęta, aby walkę o stolicę uczynić swoją własną: powstaniem chłopców i dziewcząt. Za każdym takim wyjściem kryła się samodzielnie i najczęściej samotnie podejmowana decyzja. Kryła się ona zresztą w każdym czynie tej ochotniczej armii: w każdym z tysięcy wyjść z domu łączniczki czy kolporterki, drukarza czy radiotelegrafisty, dowódcy idącego na „kontakt”. Każde z nich było czynem, było zagrożoną śmiercią decyzją. Samotne decyzje poprzedzały też takie czyny, które nie wymagały wychodzenia z domu, a były równie pełne grozy: oddanie swego mieszkania na „lokal”, przyjęcie człowieka ściganego.

Nikt im tego nie kazał. Nikt nie stał ponad nimi zaopatrzony we władzę popartą siłą. Szli sami, opierając się na swych suwerennych decyzjach, obligowani przez mus sumienia i wcześniej wyrzeczone słowo przysięgi. Każdy z żołnierzy ochotników sam decydował, czy rozkaz, który otrzymał, wykona, czy też tego nie zrobi. W ciągu tych niemal sześciu lat wojny setki tysięcy Polaków powiedziało ojczyźnie swoje „TAK”. Owo „TAK” powtórzyło się miliony razy. Miliony razy potwierdzało upartą wolę wierności, wolę udziału w stanowieniu o polskich losach, potwierdzając suwerenność wewnętrzną

każdego obywatela, suwerenność mówiącego „TAK” narodu, suwerenność tego podziemnego państwa, które było II Rzeczpospolitą, może bardziej wolną i suwerenną niż kiedykolwiek. Każde „TAK” przypieczętowało swą zgodą nie poparty siłą rozkaz dowódcy, polecenie tajnej władzy cywilnej, przemieniając świstek papieru lub ulatujące w powietrze słowo w nabrzmiewającą czynem rzeczywistość.

Ryszard Bender

Pan doktor Chudy wyraził życzenie, ażebyśmy w naszych rozważaniach trzymali się bliżej Września. Nie jest tak źle. W naszej dyskusji nie gubimy Września z oczu, a że momentami zagłębiaamy się w odleglejszą historię, to ma i pozytywne strony. Wyizolowanie bowiem Września, niewchodzenie w szerszą problematykę, nie byłoby dobre. Poza tym niestety nie ma wśród nas tych, którzy swe twórcze badania koncentrują na tym właśnie okresie bądź szczegółowo badają jego genezę, np. od strony dyplomatycznej. Z piszących w Polsce czyni to niestrudzenie prof. Henryk Batowski z Krakowa, a z autorów angielskojęzycznych chociażby prof. Anna Cienciała z USA. I oni zresztą w swych pracach nie mówią wyłącznie o samym Wrześniu. Sięgają do różnych wydarzeń z nim związanych, wcześniejszych przede wszystkim. Wrzesień roku 1939 pozostaje więc w polu naszego widzenia w tej dyskusji, choć pole to poszerzamy (np. w bardzo istotny sposób prof. Davies). Frapujące jest to, co od strony etycznej powiedział ks. prof. Bartnik. Można się z nim jeśli idzie o szczegóły spierać, jego uwagi wyprowadzają nas jednak na gościniec spraw ethosu, które chcemy powiązać z problemami Września. Kolega doktor Juzwenko dostrzegł cynizm w wydarzeniach, albo raczej w sposobie ujmowania wydarzeń, których dotykamy. Skąd ta postawa się wzięła? Była owocem odizolowania problematyki politycznej od etycznej. Wpływ na taką postawę wywarł Hegel: dobro Prus, dobro państwa było dla niego najważniejsze. I za nim poszła wszelka lewica, marksistowska również, gdyż i ona jest „etycznym” dzieckiem Hegla.

Natomiast u nas w Polsce, za sprawą chyba XIX-wiecznej filozofii narodowej, mesjanizmu, położyliśmy akcent na dobro narodu. Poprzez Zygmunta Balickiego, wywodzącego się z Lublina (tutaj ukończył gimnazjum), eksponowaliśmy pojęcie egoizmu narodowego. Wielu myślicieli i polityków świeckich, ale także i duchownych, uważało, że czym innym jest etyka indywidualna, a czym innym społeczna. Stwierdzano dość powszechnie: Kościół niech mówi o etyce indywidualnej, ale społeczna jest autonomiczna, jesteśmy w polityce niezależni. To sprawiało, że politycy polscy niejednokrotnie bywali w kłopotcie, jak połączyć zasady etyczne z działaniami wynikającymi z obowiązku patriotycznego czy też dotykającymi kwestii społecznych.

Z tym wiąże się problem postawy tak rządzących, jak i społeczeństwa polskiego wobec sytuacji roku 1939. Czy dzień 1 IX 1939 był jakąś siłą fatalną,

rzeczywistością narzuconą nam przez uwarunkowania międzynarodowe? Czy też ów tragiczny w następstwa dla Polski, dla Europy, dla świata dzień wrześniowy był zawiniony przez nas samych, przez Polaków, przez naszą politykę wewnętrzną i zagraniczną? Przecież pojawiały się opinie, i pojawiają, prowadzące się do pytania, dlaczego nie byliśmy tacy roztropni jak Czesi, a przynajmniej jak Francuzi i nie skapitulowaliśmy od razu lub po krótkiej, symbolicznej walce? Po wojnie przecież przywróconoby nas do bytu niepodległego, podobnie jak tamte kraje. Marszałek Petain uzasadniał podobno poddanie się Francji Niemcom i konieczność okupacji kraju przez wojska niemieckie tym, że nie chciał, by Paryż podzielił los Warszawy, że pragnął oszczędzić swemu krajowi zniszczeń, jakich doznała Polska, a okupację uczynić łżejszą.

My, Polacy takiej postawy nie mogliśmy zająć i w naszych warunkach podobna argumentacja nie wchodziła absolutnie w grę. Dumni jesteśmy, że nie mieliśmy polskiego Quislinga. To wszystko wiąże się z ethosem naszego Września. Kształtowały go przede wszystkim polskie zasady katolickie. Jakie, które? Szereg elementów wydobyl w swej wypowiedzi ks. prof. Bartnik. Należy zauważyć, że wbrew wszelkim politycznym wyrachowaniom nasz ethos prawości, honoru, powiązany z głębokim patriotyzmem, kazał we wrześniu 1939 r. stawić czoła przemocy obu sąsiadów i wykluczał kapitulancstwo, a w latach okupacji – kolaborację. Odmienną postawę przejawiały jedynie drobne, wręcz śladowe odłamy społeczeństwa, głównie o orientacji prokomunistycznej, głoszące, iż rozpoczynająca się wojna po obu stronach ma charakter imperialistyczny, co było nieprzekonującym chwytem propagandowym międzynarodówki komunistycznej. Miał on tłumaczyć rzekomą zasadność paktu Ribbentrop–Mołotow i ponownego rozbioru Polski między Niemcy i radziecką Rosję. Proniemieckich postaw, poza teoretyzowaniem Władysława Studnickiego, zresztą kłopotliwym dla Niemców, którzy go w końcu internowali, właściwie nie było. Kontakty Leona Kozłowskiego z Niemcami, bardzo nie na miejscu, też poza rozmowy, jednostkowe rokowania, nie wyszły. Szerszego rezonansu politycznego nie miały.

Działo się tak, mimo że przed samym wybuchem wojny istniała w Polsce znaczna przepaść między rządem i społeczeństwem, w szczególności zantagonizowaną opozycją. Najwybitniejsi jej przedstawiciele: Wincenty Witos, Wojciech Korfanty zmuszeni przed laty do emigracji, w obliczu zbliżającej się wojny, powrócili do kraju. Inspirowani ethosem patriotyzmu, postanowili stanąć u boku znienawidzonego przez siebie rządu. Szło bowiem o sprawy nadrzędne, o Polskę, o niepodległość dopiero co wydobytej z niewoli ojczyzny. Za tę wierność ethosowi, za fakt, że ethos wziął u nich górę nad pragmatyzmem zapłacili obaj wysoką ceną. Po przekroczeniu granicy, we własnej ojczyźnie, którą pragnęli wesprzeć, pozbawieni zostali wolności, co sprawi, że jeden z nich – Wojciech Korfanty pod wpływem przeżyć więziennych zakończy życie tuż przed wybuchem wojny.

Inną kwestią był radykalizm polityczny. W Polsce lat międzywojennych był on widoczny nie tyle w kręgach robotniczych, ile wśród znacznej części inteligencji. Nauczycielstwo, przynajmniej w połowie, było nastawione lewicowo, a sympatie prokomunistyczne nie należały do wyjątków. Związek Nauczycielstwa Polskiego tę postawę wyrażał najszerzej. A był on organizacją o wiele liczniejszą aniżeli Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowe Nauczycielstwa szkół powszechnych czy średnich, nawet razem wziętych. W kołach inteligenckich, wśród pisarzy, publicystów oraz wielu działaczy społecznych, lękano się bardziej tzw. kościelnego ciemnogrodu i jego wpływu na społeczeństwo aniżeli sił lewicowych z komunistami włącznie. Kierunki wolnomyślowe i liberalne miały oparcie w kręgach władzy, w szczególności po zamachu majowym roku 1926. Występowały one szczególnie przeciwko udziałowi Kościoła i duchowieństwa w życiu publicznym kraju, oddziaływaniu na oświatę i wychowanie szkolne. Usunięcia religii ze szkół żądali nie tylko przedstawiciele Związku Nauczycielstwa Polskiego, ale także intelektualiści i literaci, m.in. Tadeusz Kotarbiński, Maria i Stanisław Ossowsky, Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska, Antoni Słonimski. Rozwijał się antyklerykalizm, wspierany przez ruch socjalistyczny z PPS na czele, koła liberalne i polityczny ruch ludowy.

Tę sytuację zmieni dopiero ethos Września 1939. Wielu radykałów zdystansuje się zwłaszcza po 17 IX 1939 r. od lewicy, w szczególności komunistycznej. Jedynie nieliczne jednostki nie przejdą ideowej przemiany. Wśród ludzi o znanych nazwiskach, tych, którzy by naruszyli ethos Września, także w dziedzinie ideowej, wielu nie znajdziemy. To wiązało się m.in. z przechodzeniem po 17 września na stronę sowiecką lub wysługiwaniem się władzy radzieckiej przez osoby tam przebywające. Nieliczni przekraczali granicę rozdzielającą ziemie polskie, by znaleźć się po stronie sowieckiej. Fakty takie spotykały się z dezaprobatą społeczną. Tragedia wrześniowa nakazywała pozostać na miejscu i walczyć o wolną Polskę. Zrozumiałe było wyłącznie przechodzenie ze strefy sowieckiej do Generalnej Guberni, gdzie działały władze Polski podziemnej, lub udawanie się z obu stref na Zachód, by walczyć w szeregach Polskich Sił Zbrojnych. Pozostali w strefie sowieckiej intelektualiści polscy, nie tylko lewicowi i ci, którzy tam się udali, różnie się zachowywali. Do dziś podnoszone są pretensje do eminentnych postaci polskiego środowiska intelektualnego we Lwowie, Wilnie i Białymstoku. Licznym spośród nich zarzuca się nierzadko nadmierny lojalizm wobec nowej, obcej, sowieckiej władzy, mimo że nie stali się jej przedstawicielami. Tymi ostatnimi byli m.in. Wanda Wasilewska we Lwowie i w Moskwie, Stefan Jędrychowski i Jerzy Putrament w Wilnie, Paweł Finder, Bolesław Bierut, Żanna Kormanowa, Walentyna Najdus w Białymstoku, Marcei Nowotko w Łapach, Maria i Jan Turlejscy oraz Walenty Titkow w Łomży. Ten ostatni, mając przed wojną związki z harcerstwem, zanim wyruszył z Łomży na studia do Lwowa, zdekonspirował przed władzami sowieckimi miejscowe podziemie harcerskie. Maria

i Jan Turlejscy z kolei agitowali w Łomży i Białymstoku za przyłączeniem tych stron do Związku Radzieckiego. Maria Turlejska, w książce pt. *Prawdy i fikcje*, napisze: „Współpraca i współdziałanie polskich komunistów z komunistami rosyjskimi, z radziecką administracją – były traktowane przez polskich nacjonalistów jako rodzaj «kolaboracji z wrogiem», ba, ZWZ potępiał nawet działalność naukową i kulturalną polskich uczonych i artystów, nawet studentów, kontynuujących swe studia we Lwowie. Były to przejawy obsesji antyradzieckiej i obłędu antykomunistycznego, które ograniczały pole widzenia i zaciemniały perspektywy rozwojowe sytuacji międzynarodowej”*.

Czyżby?

To, że Polacy zachowali taką, a nie inną postawę pod okupacją sowiecką, skąd licznie byli deportowani na Sybir i zamykani w więzieniach, o czym pisze zgryźliwie, mimo upływu lat, Maria Turlejska, było również następstwem doświadczeń Września 1939 i wytworzonego wówczas ethosu, obowiązującego Polaków.

Janusz Krupski

Nie zgodziłbym się z tym, co powiedział w pewnym momencie prof. Bender. Myślę, że należy odróżnić sympatie poważnej części inteligencji, sympatie radykalne, lewicowe, często liberalne o antykatolickim, antykościelnym charakterze, od sympatii totalitarnych czy prorosyjskich. Inteligencja polska w czasie wojny dowiodła, że tych ostatnich zasadniczo nie miała. Myślę, że należy tu wyróżnić ludzi, którzy byli związani z KPP. Była to niewielka grupa, chyba kilkanaście tysięcy osób. Przez społeczeństwo, jak również przez władzę byli oceniani jako obca agentura i taką rolę przyszło im czasem świadomie, czasem nieświadomie pełnić później. Natomiast pozostała część tejże inteligencji czy społeczeństwa powiedziała wobec Rosji zdecydowanie: „nie”.

Spójrzmy na sytuację bezpośrednio po klęsce, kiedy to w rękach Rosjan, w obozach jenieckich, znalazło się kilkanaście tysięcy oficerów, częściowo oficerów zawodowych, częściowo oficerów rezerwy, czyli inteligencji polskiej. Tych ludzi Rosjanie nakłaniali do współpracy. Rysowali im wizję sojuszu nowej Polski z Rosją. Jaka była odpowiedź tych ludzi? Ja myślę, że odpowiedź, która ich zaprowadziła do grobu. Otóż na prawie 15 tysięcy osób, tylko 20 okazało się zdrajcami, tak ich nazwali koledzy, 20 osób bowiem określiło swoje pochodzenie jako niemieckie, licząc na jakiś ratunek. To jest rok '40, Polska pokonana, zmieciona, nikt nie staje w jej obronie. Ci ludzie zdają sobie sprawę z tego, że Polska poniosła klęskę. Nie wiedzą, co ich spotka. Mimo to jednak tylko 20 osób odpowiada: „tak” na propozycję zwycięzców, którzy mówią wyraźnie: „Wy nie macie i Polska nie ma żadnych innych szans”. Wszyscy pozostali (również ludzie o sympatiach lewicowych, albo-

* Warszawa 1966, s. 495.

wiem podziały w tym korpusie były takie, jak w społeczeństwie polskim), mówią jednak zdecydowanie: „nie”. Rzeczą ta dotyczyła pewnej grupy ludzi: elity społeczeństwa polskiego, elity, która miała według planów rosyjskich być zastąpiona nową. Czasy Polski Ludowej pokazują pracę nad tworzeniem tej nowej elity, po zniszczeniu (wspólnymi siłami Rosjan i Niemców) znacznej części dawnej.

Rocco Buttiglione

Chciałbym podnieść pewną kwestię metodologiczną. Odnoszę bowiem wrażenie, że w dyskusji naszej zawiera się pewna metodologiczna trudność. Nie wydaje mi się mianowicie jasne kryterium, które pozwala jednoznacznie rozstrzygnąć problem stosunku Polaków do Września występujący w wypowiedziach moich przedmówców i opowiedzieć się za którąś z tez. Gdyby to miało być kryterium empiryczne, byłibyśmy w dużym kłopotcie, ponieważ większość tych, których sąd w tej sprawie byłby miarodajny, już nie żyje. Nie można więc ich samych o to zapytać. Jako filozof widzę jednak i chciałbym zaproponować inne kryterium, nazwałbym go filozoficznym. Musimy, rzecz jasna, unikać idealizacji Polaków, co nie znaczy, że należy jej unikać za wszelką cenę, w pewnym bowiem zakresie jest ona uprawniona i wyraża po prostu prawdę. Wydaje mi się zresztą, że teza jednego z moich przedmówców, jest taką właśnie metodologicznie uprawnioną idealizacją.

Aby wyrazić jasno to, co mam na myśli, zapytajmy: w jaki sposób Polacy mogli i mogą określać swą narodową samoświadomość? Czy nie istnieje pod tym względem różnica pomiędzy nimi, a ich sąsiadami? Istotnie. Niemiec może określać swą samoświadomość narodową poprzez osiągnięcia swej współczesnej historii i czynił tak de facto, choć może od 1945 r. czyni to już z pewnymi wahaniem, a to po prostu dlatego, że historia niemieckiej kultury i niemieckiej potęgi wzajemnie się splatały. Niemiec interesujący się aktywnością swego narodu i własną narodową samoświadomością kroczy jakby jedną i tą samą drogą. To samo dotyczy Rosjanina, Francuza, mniej już może Włocha, wcale jednak nie odnosi się do Polaka.

Właśnie ta różnica zaczyna być uderzająca: z punktu widzenia historii własnej potęgi Polska jest prawie niczym – przynajmniej w ciągu trzech ostatnich stuleci. Odsiecz Wiedeńska (1683) była ostatnim bodaj dziejowo znaczącym zwycięstwem militarnym Polski. Ale w dzieje kultury Polska wniosła nad wyraz wiele. Znaczy to, że w łożysko dziejów polskiej historii, w historię dzieł-dokonań Polaków wplotła się linia, która wyraźnie rozgranicza kulturę od potęgi, która je obie de facto przeciwstawia i czyni to przeciwstawienie realnie obecnym w historii Polski. Trudno odpowiedzieć na pytanie, ilu statystycznie Polaków zdaje sobie wyraźnie z tego sprawę i wielu z nich byłoby może w kłopotcie, gdyby im odnośnie pytanie – naceLOWANE na uzyskanie empirycznie sprawdzalnej odpowiedzi – postawiono. Myślę, że Polacy – jak to

zwykle bywa w historii wojen – stanęli w większości do walki dlatego, że stracili kogoś z najbliższych lub że chcieli ich ocalić przed najgorszym... Ale okazja, która skłania bezpośrednio ludzi do podjęcia walki, nie jest tożsama z ostatecznym powodem jej podjęcia.

W tym właśnie miejscu trzeba postawić nasze pytanie: W jaki sposób Polacy określają ostatecznie świadomość swej walki? Sądzę, że jedno trzeba tu zaraz wykluczyć. Trudno byłoby mianowicie w przypadku Polaków próbować określić tę świadomość opierając się na aspiracjach ich własnego państwa do mocarstwowości, do supremacji nad innymi. I to zarówno ze względu na ich dotychczasową historię, jak i ze względu na ich obecną sytuację historyczną. A przecież – mimo to wszystko – historia Polaków ma swój zdecydowanie określony sens filozoficzny, sens niezwykle doniosły, sens, który odsłania nam właśnie ich historia, jako jej sens. Jaki? Ano ten przede wszystkim, że historia kultury nie pozwala się zredukować bez reszty do historii potęgi, że kultura i siła nie są tym samym. Nie chcę przez to twierdzić, że muszą się one z konieczności wzajemnie wykluczać i ścierać. Przeciwnie, bywają szczęśliwe okresy w dziejach narodów, że obie one: kultura i potęga – idą w parze. Nie znaczy to jednak, że musi tak być ze swej istoty. Na tym właśnie polega zasada immanentyzmu, którą Pius XII odsłonił i zarazem napiętnował w komunizmie, co zresztą jego poprzednik uczynił w odniesieniu do włoskiego faszyzmu i niemieckiego socjalizmu narodowego. Ta właśnie zasada stała się siłą napędową totalizmu, który tylko się w pełni ujawnił jako historyczny fenomen w kontekście Września '39 i w całym dalszym przebiegu wydarzeń, dla których dzień 1 września stał się punktem wyjścia, nie przestając być punktem dojścia i dojrzewania głębszego, narastającego daleko wcześniej procesu. Oto dlaczego mamy do czynienia, jak śmiem twierdzić, nie tylko z problemem empirycznym, ale także z filozoficznym – a w konsekwencji tegoż również z metodologicznym – gdy stawiamy pytanie: w jaki sposób Polak określa swą samoświadomość narodową w oparciu o uświadamianie sobie swej własnej historii? Istnieje pewna filozoficzna konieczność, która wręcz uniemożliwia budowanie przez Polaka tej historii według modelu heglowskiej filozofii historii: „to, co faktyczne – jest rozumne”, która to historia rządziła de facto procesem krystalizowania się świadomości i postaw elity władzy, procesem, który znalazł swe ujście i wyraz aż nadto czytelny w obu wojnach światowych, przede wszystkim jednak w tej drugiej. Oto co chciałem dorzucić w charakterze metodologicznego uzupełnienia do naszej dotychczasowej dyskusji.

Gdy już to kryterium i prawidło znamy, możemy badać dalej w jego świetle, w jaki sposób konkretnie i poprzez jakie czynniki pośredniczące – ujmowalne także metodami empirycznymi – dochodzi do głosu w poszczególnych warstwach ludności czy zawodów świadomość wyzwania, jakie wypływa z obiektywnych pokładów samej historii. Jedni stają się tego świadomi wcześniej, inni później, jedni w sposób pełny, drudzy tylko częściowy. Tak

jest z historią każdego poszczególnego narodu. Nie należy, rzecz jasna, tego rozumieć w sposób fatalistyczny. Byłby to nonsens. Byłoby to także wbrew chrześcijańskiej zasadzie wolności i moralnej odpowiedzialności za siebie, za swe dzieje: czyny-dzieła, czyny-dokonania. Nikt nie może takiego uproszczonego schematu stosować do historii Polaków ani Polacy do swej własnej historii.

Ks. Tadeusz Styczeń

Nie sposób było przerywać prof. Buttiglione, chociaż o mało nie uległem tej pokusie. Jego wywód domaga się bowiem dopełnienia jego własną uwagą z książki *Il pensiero di Karol Wojtyła* z r. 1982. Píše on tam na s. 331-332: „Problem marksizmu zachodniego nie jest jedynie problemem filozoficznym, lecz także, równocześnie, problemem politycznym. Rewolucji rosyjskiej nie udało się stać się rewolucją światową, mimo że rewolucja socjalistyczna mocą swej istoty nie może pretendować do tytułu autentycznej, jeśli nie jest od razu światową rewolucją. W roku 1920 Armia Czerwona, posuwając się w kierunku Zachodu z zamiarem podania swej dłoni rewolucjonistom niemieckim w czasie fermentu powstałego po upadku cesarstwa Hohenzollernów, została powstrzymana – w swym pochodzie w stronę rewolucji globalnej [dopowiedzenie – T.S.] – i pokonana przez wojska polskie pod wodzą marszałka Piłsudskiego. Wydarzenie to nie ma jedynie doniosłości tylko i przede wszystkim w pionie militarnym, jest wydarzeniem przełomowym także w filozofii dziejów naszego stulecia. Robotnicy i chłop polscy zamiast zjednoczyć się z żołnierzami rewolucji, reprezentującymi rady robotniczo-chłopskie, odrzucili zdecydowanie niesioną im przez Armię Czerwoną ofertę «klasowego wyzwolenia». Tym, kto najlepiej pojął rozmiary tego, co się stało pod Warszawą, był Stalin. Trzeba nam tedy wyjść od przełomu, jaki dokonał się na polu bitwy pod Warszawą”.

Nie można tu przytoczyć w całości tego, co Buttiglione pisze dalej w swej książce o wydarzeniu, zwanym „cudem nad Wisłą”. Ale chyba nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli jego własnymi słowami uzupełnimy jego tezę: stwierdzenie, że „rok 1683 był ostatnim dziejowo znaczącym zwycięstwem militarnym Polski”. To, że w roku 1920 nad Wisłą polski chłop i robotnik staje przeciwko tym, którzy reprezentują jego własny „interes klasowy” – stanowi sedno „cudu nad Wisłą” – napisał Żeromski w eseju *Na probostwie w Wyszkowie*.

Rocco Buttiglione

Tak, i Żeromski, i autor... mojej książki mają rację.

ETHOS WRZEŚNIA A ETHOS WALKI PODZIEMNEJ

Ryszard Bender

Swoisty ethos zakorzeniony w tradycji sprawiał, że po klęsce wrześniowej nikt z liczących się kręgów społecznych nie uważał, że była to klęska narodu – finis Poloniae. Wszyscy, najróżnorodniejsze środowiska społeczne, z lewicą pozakomunistyczną i prawicą włącznie, byli zdania, że Polska istnieje, tyle że w podziemiu, że cały naród zobowiązany jest do walki, a jej celem – restytucja państwowości polskiej. Stąd też chociaż w literaturze, zwłaszcza wspomnieniowej, mówi się niekiedy, z reguły półgębkiem, o szosie zaleszczykowskiej, to jednak u wielu wydarzenie to znajduje zrozumienie. Nierzadko uważa się, że ci ludzie, przynajmniej w znacznej części, nie wybierali tchórzliwej ucieczki, że szosą tą wyruszyli do dalszej walki o Polskę, walki poza krajem, u boku sojuszników, którzy – jak wierzono – nas wesprą i Polska odzyska dawne granice. A że stanie się inaczej, że w grę wejdzie Jałta, tego przewidzieć było nie sposób.

Tą szosą i innymi drogami, niekiedy przez łańcuchy gór, podążali na Zachód ludzie różnych orientacji politycznych i ideowych. Nie zarzuca się gen. Władysławowi Sikorskiemu, że nie pozostał dłużej w kraju, ani gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu, że nie poszedł do łagru, lecz wyruszył na emigrację. To samo rzecz można o Prymasie Polski kardynale Augustynie Hlondzie. Uważa się dość powszechnie, że za granicą działał on więcej dla Polski, niż gdyby pozostał w kraju. Tam był potrzebny, by czuwać nad sprawami polskimi. W kraju natomiast ujął w swe ręce sprawy kościelne i narodowe metropolita Krakowa arcybiskup Adam Stefan Sapieha i uzyskał autorytet, porównywalny z tym, który po latach stał się udziałem Prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego. Sapieha w latach wojny nie był kardynałem, ale już wtedy, pod okupacją niemiecką, w kraju i na emigracji, myślano o kapeluszu kardynalskim dla niego. W Londynie, w Instytucie im. gen. W. Sikorskiego, w aktach ambasady polskiej przy Stolicy Apostolskiej, odnalazłem informację, iż rząd polski na emigracji, wraz z prezydentem Władysławem Raczkiewiczem, inspirowany z kraju, zabiegał w Watykanie o purpurę kardynalską dla arcybiskupa Sapiehy. Uważano, że jego autorytet moralny był tak duży, że Niemcy nie zdobędą się na sprzeciw, a społeczeństwu fakt ten doda otuchy i sił do przetrwania okupacji. Swoisty ethos Września i w tym wypadku nie był bez znaczenia.

On też miał wpływ – należałoby jedynie precyzyjniej może określić jego zakres – na najistotniejsze wydarzenia polityczne w kraju w latach wojny. Konspirowano wówczas powszechnie, tworzone państwo podziemne, podziemne formacje wojskowe z późniejszą Armią Krajową na czele. Uważano bowiem powszechnie, że jest wręcz nakazem wiary – bronić ojczyzny, walczyć o odzyskanie przez nią odebranej podstępnie we wrześniu 1939 r. niepodle-

głości. Wzięci w dwa ognie 1 i 17 IX 1939 r., rozdzieleni przez zaborców granicą ich zbrodniczych interesów, po obu jej stronach, pod okupacją niemiecką i sowiecką, a także poza krajem, tam wszędzie, gdzie bili się żołnierze polscy, wytworzyliśmy, być może typowy tylko dla nas Polaków, ethos walki o wolność i niepodległość. Znajdujemy jego ślady w enuncjacjach władz podziemia, w rozkazach dowódców, w literaturze nie tylko wspomnieniowej, w poezji tamtych lat.

Ethos ten powodował również ogromne przemiany w postawach wewnętrznych Polaków, zmieniał ich postawy ideowe, łączył na podłożu patriotyzmu, który wspierany przez Kościół, znajdował oparcie w polskim katolicyzmie. Omawiając te sprawy, nie można nie wspomnieć o wiele znaczącej w tamtych latach, podziemnej organizacji Unia Jerzego Brauna. Zgromadziła ona w swych szeregach, głównie na obszarze okupacji niemieckiej, ludzi z różnych kręgów ideowych i politycznych. Wielu z nich, wcześniej dalekich od katolicyzmu, przeszło na jego pozycje, inni zachowali odmienne oblicze ideowe, ale przyjęli ideę unijną łączącą patriotyzm z podstawowymi wartościami chrześcijańskimi. Unia Jerzego Brauna, której członkiem był młody Karol Wojtyła, bez ethosu Września, który w jej dorobku ideowym jest wyrazisty, byłaby zupełnie innym środowiskiem, inną organizacją. O ethosie Września, o jego wadze w pracach Unii świadczą z rzadka dziś przypominane wydawnictwa i artykuły zamieszczone w licznych własnych konspiracyjnych czasopismach, takich m.in. jak: „Kultura Jutra”, „Miesięcznik Literacki”, „Odrodzenie”, „Reduta”, „Słowo”.

Ethos Września oczywiście nie obcy był duchowieństwu polskiemu. Od pierwszych dni okupacji włączyło się ono czynnie do konspiracji, zarówno w strefie niemieckiej, jak i sowieckiej. Kapłani byli wszędzie, gdzie rozwijała się podziemna działalność narodowa. Jako kapelani czynni byli nie tylko w szeregach Służby Zwycięstwu Polski, ZWZ i AK. Nieśli pomoc duchową nawet tym, których przynajmniej kierownictwo było na antypodach ideowych Kościoła. Ich obecność dostrzec można w czasie wojny i okupacji także w oddziałach obu Gwardii Ludowych, tej PPS-u i tej tworzonej przez skrajną lewicę, związanej z PPR. Naczelnym kapelanem Armii Krajowej był, związany z Unią w czasie okupacji, ks. Tadeusz Julian Jachimowski, zastrzelony przez Niemców w czasie Powstania Warszawskiego.

Ethos Września miał wpływ na postawy ideowe Polaków nie tylko okresu wojny i lat okupacji. Jego oddziaływanie dostrzec można i później. Interesującym świadectwem są w tym względzie *Dzienniki* Marii Dąbrowskiej. Przed wojną lewicująca, w czasie okupacji nie przejdzie pełnej przemiany ideowej, ale proces ten u niej się rozpocznie. A gdy po wojnie dojdą doświadczenia autorytarne systemu stalinowsko-bierutowskiego, będzie ona się zbliżać ku wartościom chrześcijańskim, by przed śmiercią przejść na pozycje religii katolickiej. Ona, która przed wojną wraz z Marią i Stanisławem Ossowskimi stała na czele komitetu rozbiórki budującego się kościoła św. Stanisława na

Żoliborzu w Warszawie! Uważała wtedy wznoszenie tego kościoła na „postępowym” Żoliborzu za wciskanie się katolickiego ciemnogrodu w dzielnicę lewicy warszawskiej. Stąd też, przeciwdziałając, głosiła Maria Dąbrowska wraz z Ossowskimi, iż: „trzeba nam szkół, a nie kościołów”.

Tomasz Strzembosz

Mówiąc o ethosie walki na ziemi polskiej w latach 1939-1945, trzeba zwrócić uwagę na to, w jaki sposób ją prowadzono. „Polskie pole walki” nie polegało – wbrew temu, co się pisze na ten temat – na biernym i czynnym oporze, w którym akcja z bronią w rękę miała być rzekomo „najwyższą formą walki”, szczytowym osiągnięciem. Chociaż sam przez wiele lat zajmowałem właśnie takie stanowisko, to teraz chciałbym zakwestionować ten sposób widzenia. Moim zdaniem aparat przemocy systemów totalitarnych, który obezwładniał i eksploatował, a następnie groził bytowi biologicznemu wszystkich „tubylców”, był zwalczany na naszej ziemi w trojaki sposób. Były to: **o c h r o n a** zagrożonych ludzi i wartości, **b u d o w a n i e** oraz **a k c j a** **c z y n n a**.

Działalność z pierwszego zakresu podejmowana była zarówno przez organizacje podziemne, jak i pojedynczych ludzi oraz małe środowiska: rodzinne, koleżeńskie, zawodowe. Była ona powszechna. Została zauważona przez polską historiografię, ale ani jej nie doceniono, ani nie poświęcono należytej uwagi.

Pierwszymi aktami tego rodzaju ochrony było masowe ukrywanie nie chcących iść do niewoli lub uciekających z niej żołnierzy polskich; przebieranie ich w stroje cywilne, karmienie, przeprowadzanie przez granicę. Zaraz potem przyszło ukrywanie zagrożonych. Na ziemiach wcielonych do ZSRR było to ukrywanie ziemian, urzędników, oficerów i podoficerów WP, policjantów, księży itp., a potem uciekinierów, którzy nie dali się aresztować czy deportować. Po 22 VI 1941 r. znowu ukrywano uciekinierów, konspiratorów, żołnierzy radzieckich, którzy wydostali się z kotłów albo uciekli z obozów jeńческих, Żydów i ranionych partyzantów. I tak było przez całe pięć lat: od początku – do końca.

Na obszarze Generalnej Guberni, gdzie nieco inne kategorie ludzi były zagrożone (nie stosowano kryteriów klasowych), ale tak jak i na wschodzie poszukiwano oficerów, niszczone inteligencję, aresztowano księży – ukrywano konspiratorów i partyzantów i ratowano chroniących się przed śmiercią Żydów. Było to tutaj generalnie biorąc znacznie łatwiejsze ze względu na prawie jednolity skład narodowościowy wsi oraz zagrożenie w mieście tak Polaków, jak i Żydów. Tu istniał problem. Polaków i Żydów różniły język, obyczaje, religia, utrudniając współdziałanie i zmniejszając poczucie wzajemnej solidarności. Braki w dziedzinie codziennego, bliskiego kontaktu pomiędzy oboma społecznościami oraz częste – zwłaszcza w masach – poczucie

wzajemnej obcości przejawiały się nieraz w niezwykle dramatyczny sposób. Mimo to istniały akty pomocy ze strony Polaków, trudne do ujęcia liczbowego, a zawsze oscylujące na pograniczu bohaterstwa w związku ze straszliwymi konsekwencjami. Akty pomocy miały miejsce w skali bardzo dużej, choć – trzeba to powiedzieć – nie wystarczającej do efektywnego uchronienia od śmierci trzymilionowego narodu.

Ziemie wcielone do Rzeszy Niemieckiej znajdowały się w sytuacji niezwykle trudnej, a to zarówno ze względu na przemieszanie ludności polskiej i niemieckiej, jak i szczególnie silny terror: nie tylko fizyczny, ale również psychiczny. Przypominało to sytuację na terenach włączonych do ZSRR. Mimo to również i tutaj akcje chronienia ludzi i chronienia tego, co uważano za cenne, miały miejsce, a czasem przybierały skalę wręcz masową.

Pomoc człowiekowi ściganemu nie ograniczała się do udzielenia gościny. Od samego początku wyrażała się ona w wytwarzaniu fałszywych dokumentów, fikcyjnym zatrudnieniu, w pomocy finansowej itp. Obrona życia ludzkiego to także pomoc ludziom zamkniętym w obozach i więzieniach, to dostarczanie do gett żydowskich szczepionek przeciwdrobnoustrojowych i żywności, odbijanie i wykradanie więźniów. Wszystko to miało miejsce na skalę wręcz masową, było stałym elementem życia pod okupacją – a jednocześnie wymaga pełniejszego niż dotąd opracowania.

Pomoc niesiona skazanym i prześladowanym odnosi się do innej, równie ważnej pracy, polegającej na opiece nad chorymi, głodnymi i pozbawionymi dachu nad głową, nad rannymi w szpitalach, wreszcie nad dziećmi: sierotami, kalekami, chorymi i zagrożonymi nędzą. W tej właśnie dziedzinie powstało zjawisko, gdzie indziej mniej widoczne, zjawisko współpracy polskich instytucji jawnych, uznanych przez okupanta, „legalnych”, z agendami Podziemia. Miało to miejsce przede wszystkim tam, gdzie pozwolono na powstanie polskich instytucji charytatywnych i opiekuńczych, a więc w Generalnej Guberni oraz na wileńszczyźnie w okresie okupacji litewskiej. Rozbudowane na całym obszarze GG i wsparte masowym udziałem społeczeństwa, w tym także ofiarnej polskiej młodzieży, instytucje opiekuńcze, odegrały rolę nie do przecenienia. Zasilane pieniędzmi i ludźmi z Podziemia oraz wsparte jego ogromnym autorytetem stykały się z akcją konspiracyjną na wielu jej odcinkach. Można tu wymienić warszawski „Patronat” więzienny, lubelską Radę Główną Opiekuńczą, która stykała się z podziemną „Uprawą” w pomocy dla więźniów Majdanka, czy szpitale pod patronatem PCK, gdzie szkolono AK-owskie sanitariuszki i leczono rannych konspiratorów, oraz domy dziecka i ochronki, prowadzone przez RGO i polskie zakonnice, w których przechowywano (przy pomocy Rady Pomocy Żydom „Żegoty”) dzieci żydowskie.

Trzeba to mocno zaakcentować. Wbrew bowiem utartym stereotypom ogromna część polskiego wysiłku skierowana została nie na walkę, lecz na ratowanie: ludzi, dóbr kultury, wreszcie całej wielkiej sfery życia duchowego, bez ratowania której naród mógłby wyjść z wojny nie tylko okrwawiony, ale

i do cna zdziczały, ograbiony z wartości wewnętrznych, ukształtowany na obraz i podobieństwo tych systemów, z którymi przyszło mu walczyć. Walka poprzez ochronę ludzi i wartości duchowych była nachylona swym ethosem ku przyszłości i tu spotykała się z kolejnym polem walki – budowaniem.

Polegało ono na tworzeniu „pod ziemią” oraz – ogólniej – poza zasięgiem władzy okupacyjnej bogatego życia politycznego, społecznego, kulturalnego, które ześrodkowało się wokół największego bodaj osiągnięcia polskiego lat wojny: państwa podziemnego. Dość powiedzieć, że budowane od początku wojny w latach 1943-1944 ogarniało całość ziem II Rzeczypospolitej, docierając do niemal wszystkich jej zakątków; organizując i wiążąc ze sobą poważną część ludności polskiej oraz pewną – trudną do policzenia – część Żydów, Białorusinów i Ukraińców. Ludność ta, zmuszona do czasowego posłuszeństwa wobec władz zaborczych, zachowywała jednocześnie dyspozycyjność wobec własnych władz legalnych: podziemnych i emigracyjnych. Budowa tego państwa podziemnego daje świadectwo o wartościach tego wymiaru ethosu. O istnieniu silnych więzi społecznych – umożliwiających pracę konspiracyjną i masowy sprzeciw wobec władzy okupacyjnej, o nieuszkodzeniu więzi „pionowej”, spajającej na zasadzie zachowania autorytetu i zaufaniu sfery kierowniczej z masami prostych wykonawców, o zrozumieniu potrzeby podporządkowania się polskiej władzy państwowej, która – pozbawiona możliwości egzekwowania swych zarządzeń – opiera się skutecznie na dyscyplinie i gotowej do ofiar wierności obywateli. Nastąpił niejako stan równowagi między narodem a państwem: państwo zostało wyraźnie dowartościowane, co nie jest rzeczą zwykłą w aspekcie charakteru polskiego. Właśnie to państwo podziemne, niewidoczne, łatwe do zlekceważenia, słabe militarnie, a przecież jakże teraz silne siłą swego autorytetu. Suwerenne – suwerennością ze współczynnikiem humanistycznym, jak – idąc za Znanięckim – podkreśla prof. Jan Szczepański. Państwo, które przejawiało się przede wszystkim jako państwo opiekuńcze, choć głośnie też z wyroków na zdrajców. Było to państwo, w którym umiały ze sobą współdziałać rozmaite nurty polityczno-społeczne, choć dzieliło je nadal ogromnie dużo. Państwo demokratyczne, wychylone ku przyszłym czasom, przygotowujące głębokie reformy, które miały stanowić o obliczu III Rzeczypospolitej, pomocne dla polskiej kultury i oświaty niezależnej, dla nauki oraz organizacji światopoglądowych i ideowo-wychowawczych.

Oczywiście, słusznie się podkreśla w tej dyskusji, że nie wszyscy znaleźli się w tym państwie. Dwie przede wszystkim grupy pozostały w opozycji do niego. Po jednej stronie ugrupowania narodoworadykalne: „Szaniec” i do pewnego momentu Konfederacja Narodu oraz zinfiltrowany przez gestapo „Miecz i Pług”, gdzie budowano Polskę totalitarną według modelu nacjonalistycznego; po drugiej utworzona przez komunistów Polska Partia Robotnicza, wzorująca się na totalitaryzmie ZSRR. To jednak były marginesy. Polskie Państwo Podziemne, wielopartyjny system demokratyczny, uzyskało po-

parcie przygniatającej części Polaków. Wreszcie walka czynna – trzeci wymiar polskiego „pola walki”.

Rozważając przebieg Kampanii Wrześniowej 1939 roku, współczesny nam historyk napisze: „Kampania polska pozostała swoistym fenomenem, wykazując wielokrotnie dążenie sił już pobitych do ponownego organizowania się i koncentrowania, celem przedłużenia walki”*. Taką samą upartą walką do końca była obrona getta warszawskiego w kwietniu i maju 1943 r., taką samą upartą walką było Powstanie Warszawskie w sierpniu i wrześniu 1944 r. Z takim samym uporem i determinacją przeprowadzono działania akcji „Burza”, gdy zdawało się, że los Polski został już przesądzony decyzją wielkich mocarstw. Można by tutaj przytaczać liczne przykłady akcji i bohaterskich postaw polskiego żołnierza, których istotnym składnikiem była wierność wartościom.

PRZEŁOM JAŁTY

Norman Davies

O II wojnie światowej mówimy już 2 godziny, a o Stanach Zjednoczonych niemal nie było jeszcze mowy. O Japonii w ogóle jeszcze nie mówiliśmy. Coraz głębiej toniemy w sprawach europejskich i polskich. Ale wojna, o której dyskutujemy, była przecież wojną światową. Jedno słowo więc o Japonii. Być może z Lublina do Japonii za daleko, ale główną przyczyną decyzji jałtańskich były losy wojny z Japonią. Dlaczego Amerykanie i Anglicy, przede wszystkim jednak ci pierwsi, dali Stalinowi w Jałcie wszystko, czego żądał? Dlatego, że w lutym '44 Amerykanie nie mieli bomby atomowej, sądzili, że inwazja na wyspy japońskie będzie kosztowała życie miliona żołnierzy amerykańskich i że do akcji tej będzie potrzebna Armia Czerwona.

Dopiero przypomnienie tego umożliwi nam zrozumienie, dlaczego Lublin jest dzisiaj miastem leżącym w tej a nie w innej części Europy. Stało się tak dlatego, że wojna, o której mówimy, była wojną nie europejską, lecz światową. I front japoński zdecydował o takim podziale Europy. Roosevelt i Churchill zrezygnowali ze wschodniej Europy dlatego, że wtedy było dla nich ważniejsze pokonanie Japonii.

Wojciech Chudy

Kiedy skierujemy wzrok na odległe perspektywy historyzoficzne determinujące w jakimś stopniu tę wojnę, a potem spojrzymy na nią z perspektywy dzisiejszego dnia, to zobaczymy dość interesującą wizję. Jak już wielokro-

* O. Terlecki, *Udział Polski w drugiej wojnie światowej*, w: *Naród, Kościół, kultura. Szkice z historii Polski*, Lublin 1986, s. 182.

tnie w tej dyskusji stwierdzono, decyzja Polski powiedzenia „nie” Hitlerowi, w konsekwencji prowadząca do wojny, doprowadziła również do ujawnienia sprężyn poaugsburskiej filozofii historii i panowania opartego na czystej sile. W pewien sposób tę filozofię wydobyła na wierzch i skompromitowała. Ale, jak mówi Stefan Kisielewski, Beck rzucając 5 maja w Sejmie owo słynne „nie”, występował też jako ostatni w naszym świecie w obronie rzeczywistej suwerenności państwowej nawet państw małych i słabych. Kończyła się pewna epoka, w której wbrew logice siły, wbrew kalkulacjom politycznym państwa narodowe objawiały swoją własną politykę zagraniczną i zaświadczały ją militarnie. Broniły swej suwerennej racji – przynajmniej aktami dramatycznych decyzji. Nie znaczyło to, oczywiście, że do września '39 istniała jakaś idylla międzypaństwowej harmonii, że nie miała miejsca gra sił i brutalnych nieraz nacisków politycznych, gospodarczych itp. To wszystko istniało, jednak w wymiarze międzynarodowym suwerenność państwowa była swoistym sacrum i panowało zgodne z tym i wysokie poczucie narodowej własnej suwerenności, żeby wspomnieć rolę Serbii przed I wojną światową czy postawę Meksyku w tym okresie.

II wojna światowa położyła kres tej epoce i zapoczątkowała nową, której znamieniem będzie Jałta i strefy wpływów. Właściwie pakt Ribbentrop–Mołotow był antycypacją i zapowiedzią Jałty, gdyż sankcjonował rozstrzygnięcie losów mniejszych narodów poza ich plecami, bez ich wiedzy. Odtąd małe lub słabe kraje będą miały niewiele do powiedzenia i doktryna Breżniewa to tylko symbol stanu faktycznego istniejącego po Jałcie w bloku wschodnim do dnia dzisiejszego, nie zaś kategoria doktrynalno-historyczna związana z konkretną postacią przywódcy ZSRR. (Fakt, że w świecie zachodnim relacje międzypaństwowe przejawiają się raczej w formie ekspresji sojuszy niż podporządkowania suwerenności, wynika z innej tradycji ustrojowej i roli opinii społecznej, nie zaś bynajmniej z filozoficznych przesłanek polityki międzynarodowej).

Przegrana II wojny, przegrana Września to dla Polski – a także dla tych wszystkich, którzy popadli w porządek pojałtański – utrata suwerenności politycznej, gospodarczej, a częściowo także kulturowej – i świadomość społeczna i narodowa tej utraty. Na tym, jak się zdaje, polega największa tragiczność epoki klęski, która nastąpiła po roku 1939. Czy udało się poszczególnym narodom, w szczególności Polakom, zło tej klęski zamienić w dobro? Obecnie pojawiają się symptomy wskazujące jak gdyby na rozpadanie się, kruszenie owej epoki negacji suwerenności państw i ludzi. Przez świat idzie fala powrotu społecznego do podmiotowości, i to zarówno w świecie związanym z kulturą Zachodu (Hiszpania, Urugwaj, Filipiny, Korea Południowa i inne), jak i – odgórnie – na Wschodzie.

Z pewnością nie należy oczekiwać powrotu do „rajskiego”, jak by go nazwali jedni, czy „naiwnego”, jak określiliby to inni, okresu suwerenności państwowej suwerenności odizolowanej, jaki istniał przed Wrześniem. Pro-

cesy współzależności między państwami poszły już bardzo daleko, jak wskazuje na to choćby planowany na rok 1992 akt zjednoczenia gospodarczego Europy Zachodniej. Jednak, jak się wydaje, następuje fala powrotu do suwerenności narodowej, obywatelskiej i kulturowej i można przypuszczać, że w tym mozolnym zjawisku budzenia się ludzi i krajów do suwerenności swój udział ma także Polska.

To byłby ów historiozoficzny fenomen przemiany klęski w zwycięstwo. Jednak jest to ciągle *in statu fieri* i ciągle wielkie pytanie pod adresem już dzisiejszych Polaków, czy ostatecznie owa długotrwała walka – od Września, przez Tobruk, Arnheim, Monte Cassino, Powstanie Warszawskie, morderczą walkę w lasach, po Październik, Grudzień i Solidarność – będzie walką do zwycięstwa.

Tomasz Strzembosz

Trzeba powiedzieć, że wobec kolejnego ciosu – Jałty – *ethos* polskiej walki zachował swoją ciągłość. Z nieprzerwanym uporem, do ostatecznych możliwości sensownego działania, trwało Polskie Państwo Podziemne. Rada Jedności Narodowej na ostatnim swym posiedzeniu w lipcu 1945 r. podpisała apel znany jako „Testament Polskiego Państwa Podziemnego”, który jest wezwaniem do dalszej – nie zbrojnej już – walki o wolność i przypomnieniem tego dziedzictwa, które zrodziły lata 1939-1945. Przedtem jednak nie zaniebano żadnej szansy, ażeby uratować to, co dało się jeszcze uratować, nie wahając się rzucić na szalę własnego życia. Próba ta skończyła się porwaniem przywódców Polski Podziemnej i „procesem szesnastu” z czerwca 1945 r.

Państwo to, prowadzące przez całe sześć lat walkę – ochronę ludzi i dóbr kultury, walkę – budowanie i wreszcie walkę czynną – w formie sabotażu, dywersji, wywiadu ofensywnego, akcji bojowych, partyzantki, działań powstańczych, w imię suwerenności i integralności, w takim też duchu wychowało swoich żołnierzy. Także wtedy, gdy pozostawali oni zupełnie sami, gdy tracili kontakt ze swymi zwierzchnikami i musieli samodzielnie podejmować najtrudniejsze decyzje, obowiązek przedkładali ponad wszystko. Są dokumenty wręcz wzruszające, choć pisali je oficerowie służby stałej. Ludzie twardzi. Pozwolę sobie przytoczyć jeden taki dokument. Podpisał go 31 X 1944 r., w dwa miesiące po zajęciu terenu przez armię radziecką, por. „Ostoja” (Andrzej Rejmak), 28-letni słynny dowódca oddziału partyzanckiego w Łukowskim na Lubelszczyźnie, a wtedy, po przetoczeniu się frontu, ostatni komendant Obwodu AK Łuków. Ten młody człowiek, na którego barki spadła odpowiedzialność za parę tysięcy ludzi, pisał m.in. *:

* K. O. Ostoja, *Za zgodność Nosowicz*, 534, M. P. dn. 31 X 1944, 131. Według rozdzielnika (w zbiorach prywatnych Arkadiusza Kwiecińskiego).

„W związku z przechodzeniem 3 armii sowieckiej do ofensywy w rejonie Warszawy nastąpiło wielkie zagęszczenie w terenie, uniemożliwiające kontakty, a nawet kwaterowanie. NKWD, osłaniające sztaby, swoim zwyczajem przeprowadza wywiady, rewizje i aresztowania. Korzystając z obecności wojsk sowieckich berlingowcy przeprowadzają łapanki do wojska, a tajna milicja aresztowania. Jest to dotychczas najcięższy okres naszej pracy. Nie-wyjaśnienie sytuacji na konferencji w Moskwie przedłuża nasze oczekiwania. Ludzie słabej woli tracą panowanie nad sobą i dają się powodować panice. [...] Nasz los nie może być złagodzony ustępstwami wobec Rosji, oddaniem połowy Polski, bo za to przeklęłyby nas przyszłe pokolenia. Ustępstwami swymi przekreślilibyśmy pięcioletni dorobek i krew swoich kolegów. Apeluję do wszystkich żołnierzy i dowódców i żądam bezwarunkowo – nie w oparciu o słowa, ale w zrozumieniu obecnej rzeczywistości – wytrwania na posterunku i dotrzymania przysięgi złożonej Ojczyźnie.

Tak jak na polu walki, tak i tutaj wypełnić swój obowiązek musimy do końca. Każde wahanie się i załamanie – to dezercja z pola walki i tchórzostwo, które zostanie ukarane. Ojczyzna żąda wytrwania. Nie wiem, kiedy stan obecny skończy się, natomiast sytuacja w terenie poprawi się po rozpoczęciu ofensywy na Wiśle”. Jak wiemy, nastąpiła ona dopiero w styczniu 1945 r. Wytrwali do tego czasu – i jeszcze dłużej, do ostatecznego końca wszelkich możliwości działania. Dnia 6 VIII 1945 r. została rozwiązana Delegatura Sił Zbrojnych, kilka tygodni później ci sami ludzie powołali do życia WiN (Wolność i Niezawisłość), by dalej szukać dróg do niepodległości. Tak jak w roku 1920, gdy inne narody cieszyły się uzyskanym z trudem pokojem, myśmy musieli walczyć dalej, gdyż ten pokój był naszą klęską.

Rzeczywiście, ponieśliśmy klęskę, ale nie była to klęska ani zupełna, ani hańbiąca. My się tamtej Polski nie musimy wstydzić, tak jak się swych państw muszą wstydzić inne narody. Od czterdziestu lat chodzę 1 sierpnia na Cmentarz Wojskowy w Warszawie – zawsze są tłumy. To już trzecie pokolenie przychodzi tam w rocznicę wybuchu Powstania. To już nie kombatanci, to ich dzieci i wnuki. Przychoǳą, bo z tych grobów emanują autentyczne wartości. Nie staliśmy się społeczeństwem, w którym dominuje nienawiść, w którym wojna odwróciła dotychczasowy system wartości. Pomimo że – oczywiście – następowały procesy demoralizacyjne. Te zjawiska były i także teraz są – w czasach, których nie można uznać za normalne, występują zawsze, są nieuniknione. Sam rdzeń ethosu jest jednak zdrowy. Może dzięki temu właśnie, że nie naruszony został dawny system wartości, że wartości chrześcijańskie, które weryfikowały się wówczas na oczach wielkich mas ludzkich, zachowały swą wiarygodność.

Jakże to znamienne, że przytłaczająca większość organizacji konspiracyjnych powołuje się w swych deklaracjach na etykę chrześcijańską. Nie mogło być inaczej. Personalizm chrześcijański stawał się jedynym oparciem w walce

z totalistycznym państwem. Właśnie wtedy Mounier stawał się popularny w kręgach inteligencji warszawskiej.

Ryszard Bender

Tak i ten wymiar katolicki polskiego ethosu wywoływał niekiedy swoiste paradoksy. Po Teheranie i Jałcie komuniści obejmując w połowie 1944 r. władzę w Polsce, zaniechali czasowo w swej propagandzie skrajnie radykalnych haseł i jadowitego antyklerykalizmu. Dążyli do legitymizmu swej władzy, wykazywali na siłę podobieństwo do dawnej, tej sprzed września 1939 r. Zrezygnowali z PKWN, odtwarzali urzędy wojewodów, starostów, wójtów gmin. Zabiegali o oprawę religijną swej władzy. Bolesław Bierut udawał się w dni świąteczne z jednej mszy na drugą. Składał religijną przysięgę przy wyborze na prezydenta w 1947 r. i wypowiadał słowa: „Tak mi dopomóż Bóg”. (Znajdziemy je w „Dzienniku Ustaw”). Inna sprawa, że gdy nadeszły nowe dyrektywy z Kremla, tworząc nową konstytucję w 1952 r., tę przysięgę złamał, likwidując też urząd prezydenta, który dotąd piastował. Naturalnie, były to wszystko pozory, mające na celu pozyskać, a właściwie wprowadzić w błąd społeczeństwo głęboko patriotyczne, wierne ethosowi Września, nakazującemu podejmować wysiłki zmierzające ku pełnej niepodległości Polski.

Wtedy właśnie, a właściwie już wcześniej, w końcu lat czterdziestych wspomniane pozory zaczną znikać, iluzje zostaną rozproszone. Te ostatnie żywiły w szczególności niekomunistyczne kręgi lewicowe i koła liberalnej inteligencji. Dostrzegły one, chociaż z opóźnieniem, totalitaryzm nowej władzy, z którą sympatyzowano i chciano współdziałać. Represje okresu stalinowsko-bierutowskiego sytuację zmieniły. Nowa władza sądziła, że uda jej się drogą terroru zlikwidować zbrojne i polityczne podziemie, a także wszelką polityczną i społeczną opozycję, do której zaliczano również Kościół. Walka z Kościołem, dotąd motywowana wyłącznie zabiegami o laicyzację społeczeństwa, zyskiwała nawet nowej władzy poparcie lewicy niekomunistycznej, kół liberalnych i socjalistów spod znaku PPS. Kiedy jednak nabrała ona znamion walki ze wszystkim, co było polskie, m.in. z wolnością słowa i sumienia, napotkała opór całego narodu, także środowisk lewicowych. W zaistniałej trudnej sytuacji zaczęły się one zbliżać, niekiedy koniunkturalnie ku Kościołowi. Stanowił on bowiem jedyną instytucję, której nowa władza nie potrafiła przetworzyć i sobie podporządkować. Stanowił więc Kościół i stanowi do dziś schronienie i oparcie dla prawdziwie niezależnej myśli i działań bliskich narodowi.

Lewica niekomunistyczna, w szczególności po październiku 1956 r., zaczęła powoli ten fakt dostrzegać i rozumieć, że bliższy może stać się także jej Kościół ze swymi wartościami chrześcijańskimi, o ogólnoludzkim wymiarze, aniżeli totalitaryzm komunistyczny. Proces ten pogłębiał rok 1968, wolność-

ciowy zryw narodu w sierpniu 1980 r., który zaowocował Solidarnością, w większej jeszcze mierze stan wojenny ogłoszony w Polsce 13 XII 1981 r. W tym trudnym, mrocznym okresie dziejów, tak jeszcze nieodległym, także tzw. postępową lewicą laicką, niekiedy wywodzącą się ze środowisk tych ludzi, którzy od partii komunistycznej odeszli, znalazła w Kościele polskim jedyne miejsce dla siebie i swojej myśli niezależnej. Staliśmy się świadkami tego, czego nie potrafiliby chyba sobie wyobrazić wcześniej żyjący, co byłoby nawet nie do przyjęcia dla pokolenia międzywojennego. Oto lewica laicka pod naporem bliskiego jej kiedyś nurtu komunistycznego zerwała dotychczasowe z nim więzi. Znalazła się ona w orbicie wpływów Kościoła i wartości chrześcijańskich. Uważam to za efekt, w pewnym sensie oddziałującego na nas po dziś dzień, ethosu Września 1939. Czy będzie to zjawisko niekoniunkturalne, trwałe, okaże czas.

Janusz Krupski

Poruszony został tutaj problem dziedzictwa, przekazu tradycji. W zasadniczej części polska elita została w czasie wojny zniszczona. Po wojnie niektórzy z ocalałych zgłosili się do obozu zwycięzcy, nie z sympatii czy przekonania, ale po prostu ze względów koniunkturalnych. Proces odbudowy elity – szczególnie po okresie stalinowskim – dokonywał się dzięki różnym doświadczeniom historycznym, dzięki powstaniu opozycji, a także dzięki całej działalności Kościoła od 1945 r. poczynając, działalności opierającej się komunizowaniu kraju. Następuje leczenie ran duchowych społeczeństwa przez odbudowę jego niektórych grup. Myślę, że trudno tutaj odwoływać się do wielkich nazwisk, w tym bowiem czasie nie było możliwości wypowiedzania się, występowania. Jednak przez cały czas była prowadzona cicha praca wychowawcza, którą ja np. – nie mający doświadczeń Września, wojny – pamiętam ze szkoły podstawowej i średniej, z okresu triumfu władzy komunistycznej. Pozostała we mnie i nie tylko we mnie wdzięczność wobec wielu nauczycieli, którzy potrafili prowadzić cichą, mrówczą robotę wychowując następne pokolenia. Było wśród nich wielu takich, którzy się do PZPR-u nie zapisali, mimo nacisków i koniunktury. To nie były wcale przypadki jednostkowe. Myślę tu o pewnym szerszym zjawisku: tak za pośrednictwem Kościoła dokonywało się na szerszą skalę wychowywanie czy obrona społeczeństwa przed totalitaryzmem, tak również było wiele pracy wychowawczej, przekazu tradycji w szkołach podstawowych i średnich. Oczywiście, też w wielu rodzinach. Tak jak Wrzesień '39, co podkreśliłem poprzednio, nie wyskoczył jak *deus ex machina* w całej swojej wielkości, tak też zjawiska dzisiejsze, jak Solidarność, nie powstały nagle i bez przygotowania.

POLSKA DZIŚ I DZIEDZICTWO WRZEŚNIA

Ks. Andrzej Szostek

Jednym z motywów przewijających się przez dotychczasową dyskusję jest ten, że decyzja Rządu II Rzeczypospolitej: decyzja odrzucenia imperialistycznych żądań Hitlera postawiła szereg ówczesnych mocarstw w kłopotliwej sytuacji. Była – jeśli tak można rzec – irytująca dla kanclerza III Rzeszy, który wówczas jeszcze wolał posługiwać się raczej groźbą wojny niż samą wojną. Okazała się także nader niewygodna dla Francji i Anglii, ponieważ oba te państwa nie były przygotowane, by wywiązać się ze swych obietnic wobec Polski i przyjść jej z natychmiastową i skuteczną pomocą. Irytujące było to, że Polska (bo przecież za decyzją jej rządu w tej sprawie stało całe społeczeństwo) przeciwstawiając się Hitlerowi porywała się „z motyką na słońce”, nie miała żadnych szans w walce z potęgą III Rzeszy – ale miała rację. Nie ustępując przemocy, zmusiła ją do obnażania się wobec świata. I zmusiła inne państwa do zajęcia wyraźnej postawy wobec sytuacji zaistniałej 1 IX 1939 r.; jak wiadomo, postawy te okazały się różne w przypadku państw zachodnich i Rosji radzieckiej.

I przez całą wojnę dochodziła do głosu ta gotowość podjęcia nierównej walki w imię swej racji i wolności: poprzez zaangażowanie militarne na tyłu frontach, wytrwałą i różnorodną walkę podziemną, może najwyraźniej w Powstaniu Warszawskim. Jeszcze raz ujawniły się wówczas intencje rządów niektórych państw uczestniczących w wojnie i jeszcze raz nadzieje Polaków okazały się płonne.

Czy dziś nie obserwujemy sytuacji pod wielu względami podobnej? Po jednej stronie tzw. realia polityczne, do których jawnie (by nie rzec: cynicznie) odwołują się władze PRL, ale i wielu życzliwych Polakom doradców spoza kraju – po drugiej Solidarność i stojący za nią naród, który nie chce zrezygnować z prawdy i wolności, choć wie, jak nieroztropnym może się innym wydawać ten upór, podejmowany wbrew tzw. trzeźwym rachubom politycznym i ekonomicznym. Jesteśmy dziedzicami postawy, która ujawniła się we Wrześniu, a której jakimś przedłużeniem jest m.in. Solidarność.

Przy całym jednak szacunku i sympatii dla tej postawy, nie należy jej idealizować. Ma ona swoją „lewą stronę”; zanadto pachnie zarozumiałym mesjanizmem, ponadto prowadzić może do utrwalenia „ethosu walki” kosztem „ethosu budowania”. Bardzo to niebezpieczne, gdy naród zbyt długo pozostaje w opozycji do oficjalnego (bo trudno powiedzieć: własnego) rządu. Jesteśmy w tej sytuacji od pół wieku, a i przedtem niezbyt długi był czas, gdy rząd był „własny”. Nie może to pozostawać bez wpływu na naszą zdolność konstruktywnego myślenia i działania. Nakłada się jeszcze na to specyficznie „socjalistyczna” mentalność i demoralizacja. To wszystko trzeba mieć na uwadze, gdy zastanawiamy się, czym dziś dla nas jest i czym być powinna ref-

leksja nad wydarzeniem sprzed 50 lat. Bo nie o to przecież chodzi, by rzewnie powspominać bohaterstwo naszych przodków. Co ważniejsze jeszcze: niesprawiedliwością wobec nich byłoby podkreślanie jedynie ich waleczności militarnej, bez dostrzegania ich zdolności i wysiłków zmierzających do budowania. Budowania już wówczas, w tak trudnych warunkach, nowej Polski, a także budowania w głębszym jeszcze sensie: zwyciężania niszczącej nienawiści mocą takiej miłości, której przykład szczególnie dobitny i znany, ale nie jedyny, dał św. Maksymilian Kolbe. Myślę, że historycy potrafiliby więcej powiedzieć na temat tego splatania się ethosu walki i budowania w postawie wielu Polaków w czasie II wojny światowej, chcę tylko podkreślić, że w obu tych aspektach postawa ta stanowi dziś dla nas wzór i wyzwanie.

Nie jest to wyzwanie łatwe, a staje się coraz bardziej aktualne. Nie umiem powiedzieć, co zrobić, żeby zachować dziś tę szlachetną tradycję „nieroztropnego” w świetle realiów politycznych przeciwstawiania się złu wraz z gotowością budowania, wymagającą właśnie prawdziwej roztropności, wytrwałości i – zwłaszcza w naszej sytuacji – niemałych ofiar; co zrobić, żeby nie zgodzić się na kłamstwo i przemoc, ale też nie zamknąć się w walce, krytyce i negacji. Nie wiem, co zrobić, wiem tylko, że to pytanie trzeba sobie w 50 rocznicę Września postawić.

Tomasz Strzembosz

Próbowałem w trakcie tej dyskusji wskazać wartości, które zakorzenione w polskiej tradycji kultury i wychowania kształtowały, poprzez przeżycie Września, ethos walki całego polskiego społeczeństwa. Chcę raz jeszcze wrócić do fenomenu Polskiego Państwa Podziemnego. Sądzę, że jest to symbol i wartość szczególnie ważna w perspektywie dzisiejszego ethosu Polaków.

To państwo nie jest tylko naszą przeszłością, faktem historycznym. Ono jest – nade wszystko – naszym dziedzictwem, tym wołaniem, które dochodzi do nas z oddali, sprzed lat. Jest to dziedzictwo upartej, prowadzonej do kresu możliwości walki o niepodległość, o wolność – a zarazem dziedzictwo porozumienia między Polakami, porozumienia realizującego się przede wszystkim „na dole”, wśród zwykłych ludzi, ale dokonującego się także „na szczytach”, w kręgach kierowniczych. Powstał wtedy consensus w sprawach podstawowych: walki z wrogiem – do końca, integralności ziem Rzeczypospolitej, demokracji politycznej i konieczności reform społecznych, politycznych i gospodarczych.

Jest to wreszcie dziedzictwo wielkiej ofiary. Nie tylko z krwi, ale i z pracy dla kraju. My to dziedzictwo niesiemy ze sobą, do dzisiaj. Ono jest najbardziej owocne i najbardziej dostrzegane przez szarego człowieka. Mamy doświadczenie – i dziedzictwo. Doświadczenie straszne: obozów, poniewierki milionów, nędzy, pacyfikacji, Powstania Warszawskiego. Ale także masowej solidarności ludzi, ofiarnego trudu ponoszonego przez miliony w imię wspól-

nej sprawy, wzajemnej pomocy. Doświadczenie i dziedzictwo zarazem. A przy tym pokazaliśmy, że nie jesteśmy ludźmi jednego zrywu, że potrafimy być w swych dążeniach piekielnie uparci. Tym właśnie, co było jedną z najbardziej charakterystycznych cech owych ludzi – to wytrwałość. Uparte trwanie do końca, do ostatecznego wyczerpania wszelkich możliwości, choć z wykluczeniem samozagłady. Dążność do wykorzystania każdej szansy dla realizacji celów podstawowych.

Wrzesień, okupacja, Powstanie i wszystkie wiążące się z nimi dramaty były wielkim aktem samostanowienia Polaków. Jakże głęboko wdzierają się w tę rzeczywistość wersety z wiersza *Myśląc Ojczyzna...* Karola Wojtyły:

„Śpiew dziejów spełniają czyny
zbudowane na opokach woli.
Dojrzałością samostanowienia
osądzamy młodość naszą,
czasy rozbicia
i złoty wiek”

„Którędy przebiega dział pokoleń
między tymi,
co nie dopłacili,
a tymi,
co musieli nadpłacać?
Po której jesteśmy stronie?”

To pokolenie nadpłaciło na pewno. Nie uchyliło się od zapłacenia swej ceny. Ceny bardzo wysokiej. „Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień?”

Z tej strasznej, totalnej wojny nie wynieśliśmy jedynie doświadczeń gorzkich i paraliżujących. Wynieśliśmy także dziedzictwo. Ono umożliwia nam trwanie solidarne, umożliwia stawianie oporu systemowi, który nas niszczy, ale zniszczyć nie może.

POLSKI SENS WOJNY I DZIEJÓW

Rocco Buttiglione

Chciałbym na końcu coś jeszcze dorzucić z perspektywy filozoficzno-dziejowej. Sprawa sensu polskiej historii jest najściślej powiązana ze sprawą sensu wojny. Czym była ta wojna? Pod pewnym względem, czy też z pewnego, ważnego zresztą punktu widzenia, była ona wojną totalizmu i imperializmu. To one zderzyły się ze sobą. Pod tym także względem zwycięzcą w tej wojnie okazał się komunizm. Czy jest to jednak aspekt najważniejszy?

Otóż istnieje inny jeszcze wzgląd. Chodzi o aspekt uwzględniający walkę, zmaganie i serce narodu. Cóż z tego, że ktoś zawyrokował: „Nie ma żadnej innej historii poza historią siły!” W przeprowadzeniu z żelazną konsekwencją

zasady: jedynie siła jest zasadą napędową historii – oba walczące ze sobą systemy były najzupełniej zgodne. Lecz patrzmy bardziej uważnie na samą historię: co ona zdziałała, co ona ujawniła? Otóż ona właśnie ujawniła w tej wojnie inną jeszcze walkę, inne zmaganie, stała się sceną innych jeszcze dziejów. Odkryła inną jeszcze ich zasadę. Tę właśnie, że historia buduje się na czymś więcej aniżeli na samej tylko potędze i sile, czyli na czymś więcej aniżeli owa karykatura ludzkiej wolności, która wolność człowieka utożsamiać chce z mocą poddawania sobie prawdy i wyrokowaniu o tym, co będzie dobrem... Tę inną zasadę jako moc napędową dziejów człowieka ujawnia mu jego własne sumienie. To ono właśnie mówi człowiekowi, iż jest on tym, kim jest, przez to, że może być wierny (albo nie) prawdzie, której – po jej rozpoznaniu – winien być bezwzględnie posłuszny w swych wolnych dokonaniach, w aktach wyboru, którymi pisze swe własne dzieje jako dzieje dobra albo zła. Tę właśnie zasadę jako zasadę walki o kształt dziejów człowieka i ludzkości ujawnia też Biblia poczynając od swej pierwszej księgi – Księgi Rodzaju. W ślad za Biblią głosi ją także Kościół, przestrzegając człowieka przed „rajską pokusą” poddania prawdy o sobie mocy swej samowoli, uznanej opacznie za... wolność. Właśnie w imię tej zasady Kościół podjął ogromny wysiłek, by powstrzymać świat przed bezdrożem wojny totalnej. Co Kościół czynił? Po prostu przypominał: jest człowiek i jego prawa, zwłaszcza prawo do posłuszeństwa prawdzie objawiającej mu się przez sumienie. Tego prawa nigdy nikomu naruszyć nie wolno. Oto co wiem o każdym człowieku, zanim się dowiem, czy jest on komunistą, antykomunistą czy czymkolwiek bądź jeszcze. Jest po prostu człowiekiem. I to wystarcza.

To proste przypomnienie było wówczas szczególnie ważne. Wiem to z opowiadań i przeżyć moich rodziców. Ważne było dla Włoch, przypuszczam, że także dla Polski, owszem, dla całego świata, który już wkrótce miał się stać widownią wojny ideologicznej, wojny zrodzonej z ideologii Oświecenia, wojny totalnej. Otóż powiedzieć w takim kontekście: Człowiek jest i pozostaje człowiekiem! – znaczy podjąć próbę zmiany charakteru, jaki usiłowano nadać wojnie, znaczy objawić jej radykalnie antyludzkie oblicze w imię tego, kim jest człowiek, którego się usiłuje w nią wplątać. Dlatego wydaje mi się, że w dyskusjach tego rodzaju jest rzeczą ważną, by do końca dopowiedzieć, czym jest w swej istocie wojna totalna i co to znaczy zmuszać – bądź być zmuszanym – do udziału w wojnie totalnej. Ci, którzy nie są ze mną, są moimi wrogami i mogą być zabijani. Jest to wojna, w ramach której jedynym zadaniem filozofa jest uprawianie propagandy na jej rzecz i usprawiedliwianie najokropniejszych zbrodni podjętych w jej imię, a zadaniem fizyków jest konstruowanie nowych armii i nowych broni. Również samej broni atomowej nie można w pełni zrozumieć poza kontekstem wojny totalnej. Wydaje się, że Polska na skutek swej pozycji – rzecz można biograficznej – nie może zasymilować *de facto*, a także moralnie tego pojęcia. Nie może bowiem prowadzić wojny w imię zasady, która powołała bombę atomową do istnienia, nie

może prowadzić wojny w imię polskiej aspiracji do mocarstwowości, do władania całkowitego nad tym, co niepolskie. To tu niemożliwe. Także politycznie. I tak Polacy zostają poniekąd z wnętrza swej własnej historii wezwani do moralnego rozprawienia się z pojęciem wojny totalnej. Oto na czym polega – tak to widzę – sens polskiej historii. Jej sens i jej doniosłość dla współczesnego świata. Chodzi o sens, którego niepodobna odnaleźć w historiach, które są historią siły.

Tu jedna jeszcze uwaga. Nie chciałbym powiedzieć, że sytuacja ta jest jedynie wynikiem samego tylko geopolitycznego położenia Polski. Powiedziałbym, że nałożyły się tu na siebie dwa czynniki: położenie geopolityczne oraz sposób, w jaki Polacy je – w sposób niewątpliwie rozumny, ale i najzupełniej wolny! – uwewnętrzni, zinterioryzowali, zinterpretowali i przeżyli w swej kulturze i poprzez swą kulturę. To one łącznie doprowadziły do odkrycia tu właśnie tej prawdy, która ma walor powszechny, to znaczy, która jest ważna zawsze i wszędzie dla wszystkich ludzi, narodów i krajów, dla Włochów, Francuzów, Amerykanów, Rosjan czy nawet Japończyków... Ważna uniwersalnie.

Oto także kryterium do odpowiedzi na pytanie: Jaki był sens oporu Polaków? Nie miał wielkiego sensu wojskowego. Sądzę jednak, że tym razem, tak jak w 1863 r. czy 1831 roku, czy wcześniej w czasach Kościuszki, był to opór, który oznaczał dawanie świadectwa prawdzie. Potrzeba przeciwstawiania prawdy sile nie tyle wynikała z nadziei na zwycięstwo, ile była podyktowana potrzebą zaświadczenia o fakcie, iż w tym spornym punkcie posiadam do czegoś osobiste prawo. Jedynie przez zastosowanie siły zostałem go pozbawiony. Ale ta siła nie posiada rozumowego uzasadnienia. II wojna światowa oznaczała koniec zasady siły w jej wersji nazistowskiej. Są jednak wciąż jeszcze aktywne i inne jej wersje w dziejach Europy i świata. Sądzę, że z tego punktu widzenia walka zapoczątkowana we Wrześniu przez Polaków trwa do chwili obecnej. Istnieje nić łącząca żołnierzy Września z Solidarnością.

Inna forma tej samej zasady, przeżywająca dziś kryzys w wyniku stosowania metody świadczenia prawdzie, stara się wejść na inny poziom, alternatywny dla poziomu władzy. Jeśliby to się udało, wówczas skutki przemian przekroczyłyby granice nie tylko Polski. Rzeczywiście, oznaczałoby to otwarcie nowego sposobu rozumienia polityki, nową fazę w historii Europy – powrót do idei Europy.

Dyskusja ta staje się dyskusją nadziei.

Ks. Tadeusz Styczeń

Nie sposób podsumowywać tej rozmowy. Ona musi mieć swój ciąg dalszy. Pozostaje mi zatem najserdeczniej podziękować Panom za ich w niej udział. Myślę, że ubogaciła ona nas wszystkich. Sądzę też, że tak jak uczyniła ona każdego z nas bogatszym o refleksje każdego drugiego, tak też teraz bę-

dzie ona ubogacać Czytelników „Ethosu”. Ufam, że znajdzie ona niejedno swe przedłużenie, w „nocnych rodaków rozmowach”, że stanie się przez to nie tylko ważnym przyczynkiem do pogłębionego rozumienia naszej współczesności „tu” i „teraz”, o co nam bardzo chodzi, ale i do jej kształtowania „tu” i „teraz”, o co jeszcze bardziej chodzi. Trudno zresztą oprzeć się wrażeniu, że to, co się „tu” i „teraz” nad Wisłą dzieje, a dokładniej, że to, co jest dziełem ludzi „tu” i „teraz” żyjących, ma znaczenie daleko wykraczające poza sprawy ludzi znad Wisły. Jest ważnym wkładem w dzieje Europy i świata. Mówi się niekiedy, że Polska potrzebuje Europy, co jest niewątpliwie prawdą. Ale nie wolno zapominać i o tym, że Europa, ze swej strony, potrzebuje Polski. Europie i światu nie wolno zapomnieć o Wrześniu '39. Trzeba to powiedzieć w imię prawdy po prostu. Ale trzeba o tym mówić także dlatego, by Europa pamiętała, iż pomoc Polsce w jej zmaganiach dziś, to nie akt łaski. Europa ma obowiązek pomóc Polsce, aby móc pomóc samej sobie. Polska stała się ważnym punktem strategicznym w zmaganiach Europy o powrót do swej zagubionej tożsamości. Wrzesień to przełom w odnalezieniu drogi w tę stronę. Dlatego myślę, że nasza rozmowa na progu 50-lecia Września '39, to rozmowa nie w cieniu wrześniowej klęski, to rozmowa w świetle wrześniowego zwycięstwa. Zwycięstwo zwycięstwu nierówne, a z moralnym zwycięstwem nie może się równać żadne. Oto dlaczego Westerplatte pozostanie na zawsze natchnieniem herosów ducha...

Nie tylko Rocco Buttiglione podkreślił tu, że ludzi Solidarności owiewa ten sam duch, który dawał siłę do walki żołnierzom Września. Trzeba chyba – zresztą za nim samym – do tego dodać: był to ten sam duch, który polskim chłopom i robotnikom kazał już w roku 1920 – a wrócili oni co dopiero z morderczej wojny do swych domów w roku 1918 – zdecydowanie się bronić przed ofertą wyzwolenia „klasowego” i zaprowadzenia w Polsce rządów „dyktatury proletariatu”, kazał zdecydowanie odrzucić ofertę, niesioną im, i całej klasie robotniczej Zachodu, ze Wschodu przez „zbrojne ramię” „rad robotniczo-chłopskich”, Armię Czerwoną. Odrzucenie tej oferty – a wiedzieć trzeba, że na probostwie w Wyszku pod Warszawą czekał już pierwszy polski gabinet „robotniczo-chłopski”, pod przewodnictwem Feliksa Dzierżyńskiego, gotowy do objęcia władzy w stolicy – przez polskich chłopów i robotników, stanowiących zasadniczy trzon armii broniącej Warszawy, nie tylko Stefan Żeromski uznał za główny powód do nazwania całego tego wydarzenia „cudem nad Wisłą”. Naoczny świadek tamtych zmagania, nuncjusz Achilles Ratti, jedyny dyplomata, który w tym trudnym czasie nie opuścił Warszawy, zawiózł z sobą do Rzymu swe „polskie doświadczenie”. Urządzając potem, już jako papież Pius XI, wewnątrz prywatnej kaplicy papieskiej w Castel Gandolfo – mającej służyć jemu i kolejnym jego następcom – umieszcza w ołtarzu Czarną Madonnę pośród dwu wydarzeń, upamiętniających w formie olbrzymich malowideł pędzla Jana Rosena, na dwu bocznych ścianach, opór Polaków wobec dwu największych prób narzucenia im siłą brutalnej za-

sady: „Cuius regio eius religio”, próby z Zachodu i ze Wschodu. Są to obrona Częstochowy w roku 1655 oraz obrona Warszawy w roku 1920. Tak oto przyszły papież widział sedno obu tych zmagania, sedno tego, co jego przyszły następca z Polski wyrazi potem pytaniem: „Czyż może historia płynąć przeciw prądowi sumień?” Oto diagnoza i oparty na niej program. W roku 1920 proroczy. A dziś? Czy nie jedyny – już uznany za realny: możliwy i konieczny?

Zakończmy to spotkanie pytaniem:

Czy papież Pius XI chciał „polonizować” swoich następców, a poprzez nich Kościół i świat, czy też chciał tylko przywrócić światu i jego dalszym dziejom to, co na jego oczach ratowano i próbowano ocalić w Polsce dla świata za cenę najwyższych ofiar: Sumienie, serce człowieczeństwa, jedyne miejsce, w którym człowiek bez gwałtu, owszem, z wyboru poddaje się sile, jedynej, która go nie zniewala, przeciwnie, jedynej, która go wyzwala, sile prawdy...

Opracował *Wojciech Chudy*